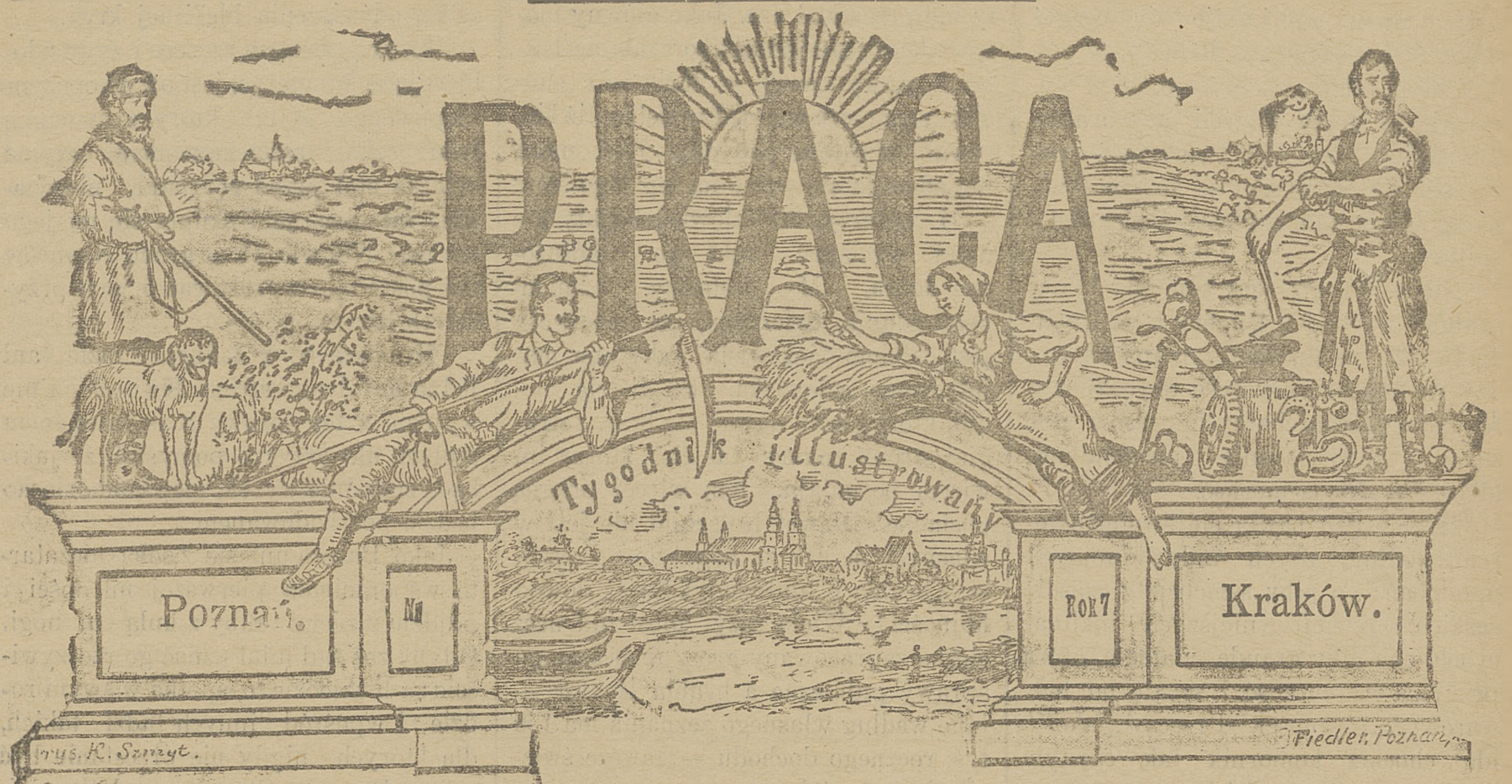
Nr. 45. Poznań, dnia 8-go listopada 1903. Rok VII



Treść nr. 45-go.

Proces Kwileckich.

I Poznań ma swoją sensacyę.

W wielkich centrach od czasu do czasu rozgrywają się przed trybunałem sprawy romantyczne, zbrodnicze i drastyczne jakby wysnute z romansu Gaboriau'a lub Conan Doyle'a, które pochłaniają uwagę ogółu i rozpalają fantazyę. Berlin miał swego Sternberga i Arenberga, Włochy mafią i zbrodnie bolońskiej kontesy, Londyn swych morderców z powołania i sprawy rozwodowe, Paryż swą dreyfusiadę i „wielką Teresę“, a teraz Poznań — zwykle zajęty procesami o tle politycznem — bawi się sprawą lekkomyślnej hrabiny i losami chłopca — bez matki.

Już przed pierwszym procesem Kwileckich, niemal od chwili przyjścia na świat spadkobiercy klucza Wróblewskiego wyobraźnia ogółu pracowała nad wyjaśnieniem kwestyi pochodzenia „małego hrabiego Stanisława.“ A obecnie gdy te znane dobrze osobistości zasiadły na ławie oskarżonych, gdy setki Polaków w roli świadków przesuwa się przed kratkami sądowemi, Księstwo pochłania sprawozdania z przesłuchów, gubi się w domysłach.

Zawcześnie byłoby przesądzać o ostatecznym wyniku tej sprawy. To pewna, że w świetle *dotychczasowych* zeznań rzeczy biorą pomyślny obrot dla głównej oskarzonej, lecz na tem jeszcze nie koniec. Jakibądź wszakże zapadnie wyrok — proces ten pozostawi po sobie głęboki niesmak.

Podobało się hrabiom Kwileckim wywlec nietylko przed nas, ale przed Berlin, Niemcy i zagranicę charakterystyczny obraz „polskiej gospodarki,“ którą poczynaliśmy już uważać za pogrzebaną, — obraz bezcelowego marnotrawnego życia w polskim wielkopańskim dworze, rzucający cień na całą arystokracyę. Wrażenia bowiem wyniesione z pojedyńczego wypadku obcy ludzie skłonni są uogólniać, rozciągać na całą warstwę społeczną a w tym razie tem skwapliwiej pochwycą się tego materyału oczerniającego Polaków, że hakatyści malują nas społeczeństwu niemieckiemu w jaknajciemniejszych barwach. A my musimy przyznać, że obyczajowo-społeczny obraz pałacu w Wróblewie jest ponurym.

Gospodarowała w nim utytułowana pani, która w ordynarności mogła by współzawodniczyć z najordynarniejszą kobietą z gminu. Męża odstręczała od siebie, popychała w wir hulaszczego życia, częstując go przy lada sposobności epitetami, które w ustach kobiety i to kobiety mającej wszelkie pretensye do dobrego wychowania i delikatności uczuć, nabierają szczególnie przykrego dźwięku. Nawet przed sądem ta pani hrabina o luźnym języku nie wahała się wyznać bez potrzeby, iż „z okazyi królewskich urodzin mąż jej tak się upił, iż wyrzucono go z niemieckiego towarzystwa.“ Takiemi nieproszonemi wyznaniami główna oskarzona nie może chyba zaskarbić sobie sympatyi w naszem społeczeństwie. Zmuszona dziś do pewnego stopnia prać brudną bieliznę wróblewską mogła była zaprawdę oszczędzić sobie takich szczegółów a nam — przykrości. Bo cóż powie sobie wobec tego niemiecki Spiesbürger? On zapewne przypuszczai, że polscy hrabiowie to tacy patryoci, że

nie bywają na niemieckich festynach. A tymczasem dowiaduje się czegoś wręcz przeciwnego a w dodatku, że polski hrabia tak się zachowuje, iż go wyrzucają za drzwi. Jeżeli tacy hrabiowie istnieją pomiędzy Polakami - powie sobie Spiesbürger — to rzeczywiście potrzeba tam zaszczepić niemiecką kulturę.

Nic dziwnego, że z komnaty takiej hrabiny wychodzą izdebne z podrapaną twarzą, że służba trzymana na wodzy według archaicznych obyczajów z feudalno-patryarchalnych czasów albo zdradza przywiązanie niewolników, albo żywi skrytą niechęć.

Hrabiostwo bawią się swoim dworem, według swych indywidualnych upodobań: on niby szlachcic z czasów saskich o prymitywniejszych inklinacyach, ona niby grande—dame'a, która przyjęła rozrzutność i swadę od bulwarowych piękności. I rzeczy „jakoś" idą chociaż komornik tak częstym gościem w pałacu aż dostaje mu się tytuł „wujka." Pani hrabina ugania się po europejskich gościńcach, które wyściela groszem zdobywanym przez chłopa polskiego, pan hr. zaś poluje i knajpuje z kimbądź, między innymi z poznańskim żydem.

W tem środowisku wzrasta spadkobierca dóbr i imienia — przyszły obywatel kraju.....

Na wiele ułomności i wad bylibyśmy skłonni zamknąć oczy, nawet tłomaczyć i uniewinniać oskarżonych, gdybyśmy w tym obrazie życia w Wróblewie dopatrzeć się mogli nieco jaśniejszych barw, chwytających za serce, gdybyśmy odkryli w głównych aktorach procesu jakąś spojnię z społeczeństwem, jakąś nutę obywatelskości. Napróżno pytamy, w czem kiedykolwiek hrabia i hrabina okazali się dziećmi Polski? Czy chociaż tylko w granicach powiatu zaznaczyli swą polskość, biorąc udział w sprawach obywatelskich? Czy chociaż kilku banknotami zasilili jaką polską instytucyą? Nic z tego. Ba! nawet pod względem towarzyskim byli zerami, nie wytworzywszy salonowego przybytku i szkoły dobrych manier, estetycznego smaku szlachetniejszych, kulturalnych rozrywek i zamiłowań. Pasożyty!

Naprzeciw tym Kwileckim stanęli — Kwileccy innego temperamentu, którzy jednakże w świetle tej sprawy również niekorzystnie i bardzo niesympatycznie zapisują się w pamięci ogółu. Mogą oni ewentualnie zyskać prawo do klucza wróblewskiego, lecz bądź jak bądź nie zyskają zgoła nic w pojęciu opinii publicznej. Wprawdzie hrabia Hektor Kwilecki, zdobywszy się na swadę, jakiej cienia nawet nie zdradził w czasie swego posłowania, bronił się przed zarzutem chciwości, lecz niestety nie przekonał nas. Jako główny motyw akcyi jego przeciwko hrabinie Izabelli poczytujemy — chciwość, chociaż sam może wmówił w siebie, iż kierowały nim inne pobudki. Być może niejeden da się wziąć na lep jego słów — i uwierzy, iż człowiek bogaty nie mógł wyciągać ręki po zadłużone dobra. My jesteśmy odmiennego zdania, twierdząc, że chciwość jest całkiem niezawisłą od stanu majątkowego człowieka. Są ludzie biedni, którzy wolą dawać niż brać, z drugiej strony znamy takich, którzy im więcej posiadają, tem więcej pragną posiadać. Nawet Rotschild nie jest w własnych oczach za bogatym. Zresztą czyż hrabia K. dał kiedykolwiek dowód hojności? Wiele razy niósł lud nasz ciężko zapracowany grosz w ofiarze na sprawy publiczne a hrabia Hektor — lubo według własnego zeznania ma 150 tyś. rocznego dochodu — zawsze świecił nieobecnością.

Za podszeptem chciwości pan szambelan i hrabia Kwilecki począł dochodzić pochodzenia spadkobiercy wróblewskiego i uwikłał się w niefortunny proces. A potem chcąc postawić na swojem, szukając odwetu brnął dalej w kałużę z uporczywością godną lepszej sprawy. I tak złowił jakiegoś detektywa-amatora (który nie zdobi swem nazwiskiem listy członków poznańskiego „Sokoła"). Z nim hrabia Kwilecki knuje plany zdemaskowania hrabiny Izabelli jako wyrafinowanej oszustki i rozpoczynają się podróże po Krakowie, Paryżu. Nad Sekwaną znajduje się inny detektyw w postaci mal. Krajewskiego, który uważa „za honor" szpiegowskie usługi, i tak dalej, aż prokurator więzi hrabinę, wytacza jej proces z pomocą całego, ogromnego aparatu sądowego. Wątpliwy tryumf hrabiego Hektora!

Chciwość, zawiść i obrażona a fałszywa ambicya wprowadziły hrabiego Kwileckiego na tę ślizgą drogę a nie — jak twierdzi — skrupuły arystokraty. Arystokrata bowiem, któremu miłą czystość nazwiska, będzie za każdą cenę unikał publicznego prania familijnych brudów. Hrabia Hektor jako poseł był zerem jako Polak, który nigdy nie przyłożył ręki do dzieła społecznego, a chciał przejść do obozu katolickich hakatystów nie stanął wysoko, a jako człowiek także nie jedna sobie względów ogółu. Jeźli proces wygra, klucz wróblewski zacięży mu na sumieniu ołowiem, jeźli przegra będzie chyba musiał skryć się w myszą jamę.

Wogóle Kwileccy figurujący w tej sprawie, takie wywierają wrażenie, że jeźli chodzi o czystość i szlachetność krwi, hr. Hektor mógłby życzyć sobie, aby Wróblewo zapożyczyło się u ludu, celem odświeżenia błękitnej krwi.

Jedyną postacią szczere i żywe zdobywającą sympatye, jest ów chłopczyna niepewnego rodu, który z niewinną twarzyczką i rozciekawionemi oczyma dziecka stoi przed sędziami, nieświadom interesu, jaki skupia się na jego osobie. Nie wie ,iż to grono Niemców ma pośrednio wyrokować o jego przyszłych losach.

Mniejsza że w żadnym razie ani jedna ani druga strona Kwileckich nie wyjdzie z tej sprawy z podniesionem czołem, ale przykro pomyśleć, że jakibądź zapadnie wyrok, niewinne dziecko będzie poszkodowanem.

Jako Parcza uniesie z sobą niezatarte wspomnienia pierwszej młodości i pójdzie z niemi niby z kulą u nogi. Gdyby zaś sąd miał uznać go rzeczywiście za Kwileckiego, spotka w swym rodzie i wpośród innych ludzi takich, dla których nigdy nie przestanie być tylko Parczą. Stugębna plotka pójdzie za nim i tak przez całe życie zbierać będzie demoralizujący gorzki owoc procesu Kwileckich.

M. R. W.

Szlachta „postępowa"
a ludowcy.

Czas byłby zarzucić albo przynajmniej zanalizować utarte określenia: ludowiec, szlachta postępowa i ugodowiec, któremi dlatego, że są utarte, musimy się posługiwać wbrew przekonaniu.

Mniejsza o nazwę, zauważy niejeden, byle nie była pustym dźwiękiem , byleśmy wiedzieli co się pod nią kryje. Niewątpliwie. Atoli zważyć trzeba, że przeciętny człowiek sądzi z etykiety o zawartości naczynia, a jeźli nazwa błędne o rzeczy daje wyobrażenie, niejasne lub fałszywe będą panować pojęcia z pośród ogółu.

Uczestnicząc w dyskusyach o polityce każdy mógł się przekonać jaki ogromny chaos pojęć wytworzyły określenia: ludowiec i ugodowiec. Zamiast charakteryzować odnośne stronnictwa polityczne, miana te maskują prawdę a, jak mówi Francuz, im więcej je się rozjaśnia, tem więcej się zaciemniają. Stąd wynika, że szeregowiec ugodowy zarzuca co chwila temu lub owemu posłowi ludowemu, że nie jest ludowcem. Trzyma się on bowiem wyrazu „ludowiec" oburącz, jak nieprzymierzając pijany płotu i wyobrażając sobie pod „ludowcem" jakiegoś chłopomana, skłonnego do

całowania się w karczmie z chłopami z dubeltówki, nie może pogodzić się z tem, iż hrabia arystokrata, agraryusz itp. może należeć do stronnictwa ludowego. Nawet politycy, dzierżący pióro w ręku, obecność szlachty, zwanej mylnie „postępową“ w obozie ludowców tłomaczą sobie płytko li tylko chęcią zdobycia mandatu. Z pewnością jest jeden a może być więcej polityków z szlachty, których do ludowców przynęciła jedynie upajająca woń mandatu, ale z tego nie wynika, abyśmy mieli kwestyonować istotną przynależność wszystkich innych do stronnictwa ludowego.

I tak w oczach „Kur. Pozn.“ walka stronnictw u nas „nie jest walką o idee, o prawa warstw ludowych, lecz walką ambicyi i osobistości“ a panów z arystokracyi wiążą z ludowcami wspólne chęci osłabienia wpływów osób ,które dotychczas przewodniczyły społeczeństwu. Nikt nie zaprzeczy, że szlachta „postępowa“ wraz z ludowcami pragnie obalić wpływy czynników dominujących do niedawna i punkt ciężkości w społeczeństwie przesunąć na stan średni, ale nie można jej posądzać, aby czyniła to z ambicyi lub z niechęci do pewnych osobistości. Przecież niejeden polityk z szlachty, gdyby mu było chodziło jedynie o zaspokojenie ambicyi, o mandat — mógł go otrzymać równie dobrze z rąk ugodowców jak ludowców. Jeźli przeto wziął go z poręki ludowców, coś więcej musiało nim kierować jak ambicya. Pomiędzy szlachtą „postępową“ a ludowcami musi istnieć jakiś potężny łącznik wewnętrzny, którego opozycya nie stara się odnaleść.

Jeźli z łamów wielkiego organu tak płytkie i mylne pojęcia przesiąkają w ogół, czas określić stanowisko szlachty „postępowej“ do ludowców i wykazać, że tworzy ona nie tyle „klin do rozbicia szlachty konserwatywnej“ ile przedewszystkiem *integralną część stronnictwa ludowego.*

„Orędownik“ nie uważa za stosowne wskazać na ten łącznik, bo ze względów taktycznych, odgrywających u niego tak wielką rolę nie lubi rozjaśniać stanu rzeczy. Dla niego zresztą szlachta postępowa nie ma być niczem innem jak tylko „klinem do rozbicia szlachty konserwatywnej“. Stara się ją łowić w swe sieci i posługiwać się nią do swego celu, którym jest — według utrwalającego się przekonania w kołach ludowych — dyktatura „Orędownika.“ Jego wyższy, patentowany własnoręcznie „rozum polityczny“ nakazuje mu wyzyskać ambicye ułowionej ryby, a z pewnością nie zabroni mu ewentualnie zdradzić szlachty „postępowej“ tak jak nie zabrania *zdradzać całego stronnictwa* — naturalnie w celach „taktycznych,“ w których zaprzepaścił ideę stronnictwa.

W odpowiedzi na artykuł „Kuryera,“ zaczepiający szlachtę z obozu ludowego „Orędownik“ nie wyjaśnia roli i stanowiska tejże szlachty w pośród ludowców. Natomiast raduje się, że „zgoda już jest (z konserwatystami) co do uznania potrzeby podniesienia u ludu rozumienia jego narodowych praw i obowiązków.“ Ależ zgoda ta istniała zawsze ; żaden Polak, nawet ugodowy, w *teoryi* nigdy nie przeczył potrzeby podniesienia u ludu rozumienia praw i obowiązków narodowych, ale w *praktyce* rozchodziły się oba stronnictwa pod tym względem. Kto zatem mówi o zgodzie — nie widzi lub nie chce widzieć rzeczywistego stanu rzeczy.

„Orędownik“ — lubo zapełnia całe łamy stronniczą szermierką i apostrofami do ludowców — nie zdobył się dotąd na rzetelną charakterystykę stronnictwa ludowego, która położyła-by kres zamętowi pojęć, wyzyskiwanemu przez opozycyę, i usprawiedliwiła przynależność szlachty „postępowej“ do ludowców. Program swój określił „Orędownik“ w duchu grubego materyalizmu jako „przez chleb (!) do uświadomienia ludu“ i bardzo niewiele powiedział przez hasło: „samodzielność obywatelska szerokich mas.“ Gdyby zechciał pofolgować swej skłonności do różniczkowania i gatunkowania ludzi i wyliczył różne kategorye ludowców — wnet „Kur. Pozn.“ i tysiące ludzi pojęłoby, co leży na gruncie ruchu „ludowego“ i dlaczego szlachta „postępowa“ należy i może należeć do obozu ludowego.

Zrobił to za niego poniekąd p. dr. Skarzyński na wiecu w Kościanie, gdzie jasno wyświetlił główną przyczynę przełomu politycznego. Ludowcy są to obywatele, którzy nie chcą powierzać obrony swych spraw politykom co „przesłyszeli się“ w Berlinie. Innemi słowy stronnictwo ludowe nie ma zaufania do polityków, którzy mniej lub więcej maczali ręce w polityce ugodowej, i proklamują inną taktykę — która da się zamknąć w trzech słowach: samodzielność, szczerość, godność narodową. — Na to pisze się odłam szlachty zwanej postępową.

Powtóre w sprawach, w których interesy warstw wyższych krzyżują się z interesami warstw niższych, ludowcy stają po stronie tych drugich a szlachta „postępowa“ z pewnem zaparciem się siebie idzie z nimi ręka w rękę.

Po trzecie w sprawach, w których interesy narodowe kolidują z interesami kościoła, ludowcy idą za głosem poczucia narodowego i szlachta również opiera się na gruncie czysto narodowym.

Po czwarte w służbie publicznej wszyscy mają być równouprawni; jak powiedział poseł Mielżyński w Szamotułach:

„Chcemy, żeby wszyscy stali się godnymi wstąpić do tej świątyni, a pierwszeństwo w niej ma dać jedynie prawdziwa miłość ojczyzny i dzielność w jej obronie, *nie zaś żadne inne względy.*“

Szlachtę, zbrataną z ludowcami, poczytujemy za spadkobierców tego szlacheckiego liberalizmu, który kwitł tutaj pod skrzydłami „Dzien. Pozn.“ przed kilkunastu laty a skończył na anemią wskutek praw majowych. Podjąwszy przerwany wątek liberalizmu szlachta musiała znaleść się w opozycyi z stronnictwem, w którem panują wsteczność, kastowość i ultramontanizm.

Węzły spajające szlachtę liberalną z ludowcami są tak silne, że gdyby słynna taktyka „Orędownika“ miała sprowadzić przełom w zwycięzkiem stronnictwie i szlachta odsunęła się od orędownikowców, nie udało-by się opozycyi przeciągnąć jej na swą stronę. Bo chociaż „Orędownik“ nuci o jakiejś zgodzie, ludowców wszelkich odcieni dzieli od konserwatystów przepaść nie do przebycia.

Quis.

Kronika przedwyborcza.

Okres wieców dobiega do końca. Pozostaje nam jednak jeszcze do zanotowania długi szereg zebrań przedwyborczych. Z zadowoleniem podnieść należy, że w porównaniu z poprzedniemi i dawniejszemi wyborami do obu izb parlamentarnych liczba wieców ogromnie wzrasta. W wielu miejscowościach, gdzie dawniej nie śniło się o urządzaniu zebrań, dziś zbierają się tłumy ludu, żądne oświaty. Świadczy to bardzo dodatnio o wzrastającem poczuciu obywatelskiem i zrozumieniu własnych interesów wpośród szero-

kich warstw. Budzą się do życia społecznego zastępy, które dawniej wegetowały, nie solidaryzując się silnie z ruchem polskim.

Odnosi się to głównie do *Prus Zachodnich.* Odbył się tam między innemi wiec w *Sianowie,* w polskim a zaniedbanym powiecie kartuzkim i to przy tak licznym udziale wyborców, że sala zaledwie mogła ich pomieścić. Kandydatami poselskimi wybrano tam: ks. prob. Łosińskiego i p. Borowskiego z Borówca.

W *Starogardzie* postawiono na kandydatów pp. Jeżewskiego ze Starogardu i red. I. Brejskiego z Torunia.

W *Olsztynie,* na Warmii, odbył się wiec pod przewodnictwem red. Pieniężnego, na którym przemawiał poseł J. Brejski. Jako kandydatów postawiono na okręg olsztyńsko-reszelski ks. dr. Wolszlegiera z Pieniążkowa i p. Juliana Jaworskiego z Lipienek.

W W. Ks. Poznańskiem żywioły ludowe na wszystkich punktach dają znak życia i coraz śmielej podnoszą głowę. W *Kostrzynie* zgotowano manifestacyą na cześć posła Głębockiego, w odpowiedzi na wiec we Wrześni. Po przemówieniu posla G. jeden z wyborców napiętnował agitacyą ugodowców, skierowaną przeciw niemu i dał wyraz oburzeniu z powodu przebiegu zebrania we Wrześni. Dalej, p. Swierkowski wyraził posłowi G. zupełne zaufanie ze strony ludu i odczytał rezolucyę, opatrzoną 100 podpisami, która brzmi:

„Zebrani na wiecu w Kostrzynie wyborcy zważywszy, iż we Wrześni odważono się na zebraniu powiatowem wyborczem wnieść straszną prywatą zabarwioną rezolucyę, wyrażającą życzenie, aby Zjazd delegatów roztrząsał sprawę niewybierania posłów do parlamentu na posłów do sejmu, a w rzeczywistości skierowaną przeciwko posłowi Głębockiemu, który niemile jest widziany w pewnych kołach jako bezwzględny obrońca sprawy narodowej, a nadto prywatnie z p. Józefem Kościelskim nie żyjący na dobrej stopie —

1) wyrażają swoje oburzenie na takie mieszanie prywaty do spraw publicznych i wywieranie zemsty osobistej na pośle Głębockim, cieszącym się ogólnem zaufaniem olbrzymiej większości polskich wyborców.

2) zanoszą prośbę do Zjazdu delegatów o należyte napiętnowanie i potępienie takiej podstępnej, a w wysokim stopniu szkodzącej sprawie publicznej czynności.“

Jak lud cenić umie posłów szczerze mu oddanych okazało się także na wiecu w *Obornikach,* o którym referowaliśmy w ostatnim numerze. Według późniejszych sprawozdań na zebraniu tem p. St. Brykczyński z Rogoźna wniósł, aby na drugiem miejscu listy kandydatów postawiono posła hrabiego Mielżyńskiego, chociaż kandyduje on w dwóch innych okręgach, a w jednym z nich — ostrzeszowsko - ostrowsko - odolanowsko - kępińskim — ma mandat niemal zapewniony. Sprężystość, jaką poseł szamotulski rozwinął niejednokrotnie w agitacyi wyborczej, oraz niedwuznaczne zbratanie się ze stronnictwem demokratyczno-postępowem zjednały mu widoczne względy i zasłużoną popularność w szerokich kołach wyborców.

Wyborcy *posła Głębockiego w Środzie,* pomimo wszystkich sztuczek konserwatystów, przeprowadzili zwycięzko jego kandydaturę .Na wiecu, który odbył się tamże w zeszłą niedzielę pod przewodnictwem p. Więckowskiego, wydelegowanego przez komitet prowincyonalny — prawie jednogłośnie oświadczyli się wiecownicy za dzielnym swym posłem i tem samem dali dotkliwą naukę konserwatystom. Po przemówieniach posła dr. Szumana i posła Głębockiego, przewodniczący poddał najpierw pod głosowanie listę komitetu: dr. H. Szuman, ks. prob. Stychel, dr. Z. Szułdrzyński, którą jednomyślnie odrzucono. Natomiast przyjęto listę: Głębocki, dr. Szuman. dr. Skarzyński.

W Poznaniu odbył się wiec wyborczy *powiatu poznańskiego wschodniego* pod laską dr. T. Szułdrzyńskiego, który oświadczył, iż stanowczo mandatu nie przyjmie. Pierwszy kandydat p. dr. Niegolewski przedstawił się wyborcom, dał pogląd na nasze położenie polityczne i w końcu wezwał, abyśmy nie licząc na działalność posłów w Berlinie, w domu pracowali nad kulturalnym rozwojem i wzmocnieniem bytu narodowego. Następnie drugi kandydat p. Lewandowski wygłosił jasną naukę o wyborach i ostrzegał zebranych przed błędami. Na kandydatów stawiono: dr. Niegolewskiego, Z. Lewandowskiego i ks. prob. Mendlewskiego.

Przewodniczący i inni objaśniali wyborców o geografii wyborczej, przyczem okazało się, że skrupulatnie, wzorowo zorganizowano powiat, wszędzie gdzie potrzeba wyznaczając mężów zaufania . Jeźli dwa inne powiaty tego okręgu wyborczego tak samo dzielnie wezmą się do dzieła i każdy przy wyborach spełni swą powinność — zwycięztwo będzie naszem i powiaty poznańskie wraz z obornickim znowu będą wysełały do sejmu polskich posłów. A zatem baczność! Niech każdy Polak stanie w szeregu!

Na zebraniu w Inowrocławiu wybrano kandydatami pp. dr. Krzymińskiego, J. Głębockiego i A. Ciegoturę i na wniosek p. T. Kozłowskiego polecono delegatom, aby na walnem zebraniu delegatów w Poznaniu co do wniosku ś. p. W. Łubieńskiego dotyczącego zmiany regulaminu przemawiali za odesłaniem tegoż do komitetów powiatowych, które by go wpierw przedyskutowały razem z innemi projektami.

W przyszłą niedzielę odbędzie się zebranie na powiat *rawicki* w Miejskiej Górce. Byłoby rzeczą pożądaną, aby uczestniczył na wiecu tym jeden z naszych posłów lub znanych polityków. Nie wolno nam bowiem zapominać o tym wysuniętym posterunku, tem więcej, że w okolicy Górki szerzy się germanizacya. Gdybyśmy mieli komitet agitacyjny, który dopilnował-by sprawy i wykorzystał okres przedwyborczy celem budzenia ducha na zagrożonych kresach — wiec w Górce mógłby przybrać szerokie rozmiary. Dziś apelować możemy tylko do patryotyzmu naszych polityków i wyrazić nadzieję, iż znajdą się obywatele dobrej woli i przyłożą rękę do agitacyi.

Zanim numer ten dojdzie rąk naszych Czytelników, odbędzie się (dnia 5-go b. m.) *walne zebranie delegatów* oraz komitetu wyborczego w Poznaniu, na którem zostanie ustanowioną lista kandydatów poselskich.

Walne zebranie delegatów z *Prus Zachodnich* odbędzie się w przyszłą niedzielę w Grudziądzu pod „Złotym Lwem.“ Na obu tych zebraniach przyjdzie pod obrady szereg wniosków, oraz sprawa statutu dla centralnego komitetu wyborczego na rzeszę niemiecką.

Q.

Korespondencya.

Kraków, 30 października.

(Secesya posłów ruskich. — Mowa ks. Pelczara. — Rozprawy budżetowe.)

Do tylu utrapień, przygniatających Galicyę, przyłączyło się w ostatnich dniach nowe, bardzo przykre i bardzo groźne: widmo nowej zaciętej walki z Rusinami, której zapowiedzią i początkiem była dokonana w ubiegły piątek *secesya posłów ruskich z sejmu krajowego.*

Przyczyną tej secesyi, a więc także czekającej nas nowej walki jest sprawa założenia nowego gimnazyum ruskiego w *Stanisławowie,* o której wam już w jednej z ostatnich moich korespondencyi pokrótce donosiłem. Rusini posiadają już cztery *czysto ruskie*

gimnazya, lecz twierdzą, że liczba ich jest za mała. Z polskiej strony odmawiają słuszności temu twierdzeniu, wskazując na to, że gimnazya ruskie nie są bynajmniej tak przepełnione, jak większa część polskich, że przeto to nowe piąte gimnazyum ruskie nie miałoby dostatecznej liczby uczniów. Statystyka również zdaje się przemawiać przeciwko potrzebie tego nowego ruskiego gimnazyum. Rusini tymczasem postanowili zrobić z tej sprawy prawdziwą kwestyę stanu, a zarazem przeprowadzić próbę siły swej i swych wpływów w sejmie.

Rzecz bądź jak bądź ubolewania godna, że po części zachęcił ich do tego i ośmielił — *rząd państwowy w Galicyi*, reprezentowany przez *namiestnictwo*. Nowy namiestnik, hr. *Potocki*, wziął sobie, jak się zdaje, za główne swe zadanie, przywrócenie w kraju zgody narodowościowej. Zamiar niewątpliwie uznania godny, szkoda tylko, że dla jego urzeczywistnienia niewłaściwą obrano drogę. Hr. Potocki wychodzi bowiem z zapatrywania, że prowokacyjnej polityce tak zw. „Ukraińców" położy się najłatwiej tamę wówczas, kiedy będzie się spełniało ich żądania. Stósownie do tego — wobec Rusinów *mylnego* zapatrywania, *przyrzeczono* im bez porozumienia się z miarodajnemi czynnikami w sejmie i wbrew ustawom, które sprawy takie przekazują kompetencyi sejmu, nietylko to nowe gimnazyum w Stanisławowie, lecz podobno także ruskie klasy równorzędne w gimnazyach *polskich w Stryju i Drohobyczu* na rok następny.

Rusini chwycili się tej obietnicy obu rękami, i jak wiadomo wystąpili z odnośnym wnioskiem w sejmie, czyniąc od jego losu zależnem dalsze swe je stanowisko w tej reprezentacyi kraju i wogóle całą swoją dalszą politykę wobec Polaków.

Wniosek ten zjawił się w złą godzinę. Zeszłoroczne strejki rolne i połączona z niemi pełna nienawiści agitacya przeciwko Polakom, streszczająca się w haśle: „Precz z Lachami za San" — wywołała w opinii społeczeństwa polskiego prawdziwy przewrot, zwróciła przeciwko Rusinom nawet opinię tych sfer, które dotychczas były za możliwie najszerszem uwzględnieniem żądań ruskich, sfer demokratycznych. A jeżli jeszcze tu i owdzie można było napotkać w kołach polskich trochę sympatyi dla tego najnowszego postulatu ruskiego, to wyziębił ją zupełnie i do reszty brutalny napad studentów rusińskich na ks. rektora *Fijałka* we Lwowie, o którym donosiłem wam w przeszłej korespondencyi.

To też już od tygodnia przeszło można było przewidzieć, że wniosek posłów ruskich nie znajdzie większości w sejmie, lecz przeciwnie, że jednogłośnie niemal ze strony polskiej odrzucony zostanie. I tak się też stało.

W przewidywaniu takiej uchwały sejmu, posłowie ruscy już od tygodnia radzili, w jaki sposób mają na nią odpowiedzieć. Z początku zdania były podzielone. Jedni radzili rozpocząć *obstrukcyę* „według systemu austryackiego," inni opuścić sejm. W końcu zgodzono się na to, aby nietylko opuścić salę sejmową, ale także *złożyć mandaty*. Ten rodzaj odwetu z tej przyczyny wydał się posłom ruskim najskuteczniejszym i najodpowiedniejszym do zastraszenia większości polskiej, ponieważ pociągnąć musi za sobą *nowe wybory*, a tem samem *nową sposobność do rozwinięcia zapalczywej agitacyi antypolskiej wśród ludu ruskiego.*

Co uchwalono, to wykonano. Sprawozdawca komisyi szkolnej wniósł na piątkowem posiedzeniu sejmu o *odrzucenie* tego postulatu ruskiego. Uchwała komisyi zawierała także protest przeciwko nieprawnemu wkraczaniu *rządu w kompetencye sejmu*, to jest przeciwko wstawieniu pozycyi na nowe to gimnazyum ruskie do budżetu krajowego bez poprzedniej uchwały sejmowej. Równocześnie atoli osładzała Rusinom tę rekuzę, pozostawiając im nadzieję uzyskania nowego gimnazyum *w przyszłości*. Zaleca ono bowiem Radzie szkólnej, *aby wzięła tę sprawę pod rozwagę*, a dalej aby zastanowiła się również nad rozszerzeniem nauki języka ruskiego we wszystkich gimnazyach i szkołach realnych wschodniej Galicyi oraz nad ewentualnem utworzeniem szkół średnich *utrakwistycznych-polsko-ruskich.*

Lecz osłoda ta nie znalazła u posłów ruskich uznania. W dyskusyi nad tą uchwałą komisyi mówcy ruscy uderzali gwałtownie na większość polską, a poseł Korol oświadczył bez ogródki: „Odwołamy się do naszego *ludu. Nasza misya w sejmie skończona.* Bez nas sejm przestanie być krajowym, a ustąpienie nasze *wywoła burzę w kraju.* Odrzucając wniosek nasz *wykopiecie przepaść między nami, która nas na długo rozdzieli.* Z naszą decyzyą solidaryzuje się *cały naród ruski.* Pójdziemy między niego *z żalem i skargą*, a gdy i jego ogarnie ten żal i rozpacz, *to my za jego czyny nie bierzemy na siebie żadnej odpowiedzialności.*"

Na próżno poseł hr. Stanisław *Tarnowski* wskazywał na to, że sejm właściwie *nie odrzuca żądania ruskiego, lecz je tylko odracza*, że Sejm da nowe gimnazyum, za rok może, lub za lat kilka. Na próżno przypominał Rusinom napad na ks. Fijałka. O polonizacyi Rusinów, mówił dalej — niema mowy. Ta jedna odmowa nie powinna stanowić podstawy do twierdzenia, jakoby Polacy tamowali rozwój kulturalny Rusinów. Polacy daliby chętnie i dobrowolnie niektóre koncesye Rusinom, ale nigdy nie uczynią tego *pod groźbą teroryzmu*. Posłowie ruscy nie dali się przejednać.

Po odczytaniu deklaracyi, w której z patosem zaznaczają, że *„miara urągań z ruskiego narodu już przepełniona," dziesięciu z posłów ruskich wystąpiło z sejmu i złożyło mandaty.*

Istniał zamiar nakłonienia do tego kroku *wszystkich posłów ruskich*, ale się nie powiódł. Nasamprzód pozostał w sejmie metropolita ks. *Szeptycki*, który co prawda nie jest posłem z wyboru, lecz ma w sejmie głos wirylny, a zarazem jest zastępcą marszałka krajowego. Snać atoli i on czuje się dotknięty tą odmową, bo zaraz udał się do Wiednia — podobno ze skargą; dalej pozostali w sejmie posłowie ruscy *Glidziuk i Ochrymowicz*, oraz znany tak zw. „Moskalofil" *Mandyczewski.*

Secesya nie jest więc zupełną — lecz mimo to aktem bardzo *poważnym*. Sejm obraduje dalej bez tych posłów ruskich, lecz bądź jak bądź, czekają nas z powodu tej secesyi zapewne przejścia bardzo *ciężkie*. Niektórzy przewidują już *nowe strejki* rolne i nowe krwawe *zaburzenia*. To pewna, że secesya znajdzie głośne echo we *Wiedniu* no i w *Berlinie*. W Wiedniu właściwie już je znalazła. Gazety niemieckie tamtejsze już uderzają na Polaków, że stracili prawo skarżyć się na ucisk *pruski*, gdyż tak samo uciskają Rusinów. Że i w sejmie *pruskim* spotkają się Polacy z takiem twierdzeniem, to nie ulega wątpliwości.

A jednak słusznem *ono nie jest*. Nie wchodzę w to, czy to odrzucenie obecnego żądania ruskiego było *mądrem i dobrem*, bo co do tego można być rozmaitego zdania; ja np. uważam tę uchwałę za *niefortunną*, co bliżej uzasadnię w następnej korespondencyi. Ale ogólnie rzecz biorąc Rusinom *nie dzieje się krzywda w Galicyi*. Wykazał to w świetnej mowie ks. Biskup *Pelczar* w sejmie. Stwierdził mianowicie, że nie Rusini lecz Polacy mieliby wszelki powód narzekać na *pogwałcenie swych praw w kraju i na niesprawiedliwe traktowanie*, zwłaszcza w dziedzinie kościelnej, że dążności Rusinów noszą cechę dzikiej nienawiści. Faktem dalej jest, że dzięki tendencyi rządowej od dłuższego już czasu doko-

nuje się *ruszczenie wszelkich władz w Galicyi wschodniej.* I o tem rozpiszę się obszerniej jeszcze.

Ta secesya ruska zakłóciła w przykry sposób całe obrady budżetowe w sejmie. O budżecie galicyjskim już wam pisałem, balansuje on w dochodach i wydatkach w kwocie mniejwięcej 25 milionów koron. Nie wysnuwajcie atoli z tego wniosku, że finanse Galicyi w dobrym znajdują się stanie. Przeciwnie, własnych dochodów stałych kraj posiada mało; 3/4 kwoty, potrzebnej na wydatki trzeba pokryć z uciążliwych dodatków do podatków państwowych, a mimo to nie braknie pieniędzy na najważniejsze potrzeby kulturalne.

Dni sejmu są już policzone. Załatwiwszy się z budżetem zostanie zamknięty. Lecz co nam przyniesie secesya posłów ruskich w przyszłości, o tem bez niepokoju pomyśleć trudno.

Galicyanin.

Odrodzenie
ducha narodowego.

... Feldman. Piśmiennictwo polskie ostatnich lat 20.

III.

Początek lat osiemdziesiątych poezyi nie hodował. Pozbawieni wielkich aspiracyi i ideałów ludzie pracy w chwili wytchnienia przedewszystkiem chcą się bawić i używać. Więc kwitnie wesołość, dobry humor, chęć do śmiechu, choćby taniego, choćby rubasznego. W dziedzinie muzyki w owym czasie panoszyła się operetka, w sztuce dramatycznej — farsa, krotochwila, bomba. Teatr w owych czasach był przytułkiem hucznej zabawy, lub rubasznej rozrywki. Filister poszukiwał tu przedewszystkiem wesołości, śmiechu i to takiego, przy którym umysł nie potrzebowałby pracować. W ten sposób pojęty stał się teatr wentylem bezpieczeństwa dla zbyt napiętych nerwów, instytucyą hygieniczną, ułatwiającą trawienie.

Lecz gdy wszystkie inne europejskie stolice, posiadając po kilka teatrów mogły zdobyć się na pewien podział pracy, który pozwala na zarezerwowanie jednego teatru dla celów podniośléjszych, u nas teatr w Warszawie, Krakowie, Lwowie, Poznaniu — musi dawaniem nędznych, ale „kasowych" sztuk robić konkurencyą własnym przedstawieniom dobrym.

To też jeszcze około 1890 r. na scenach naszych niepowstrzymanie huczały fale śmiechu bezmyślnego; sztuki o głębszej idei wyklęte były z góry z przybytku sztuki, jako „nudne". Bezmyślne i płaskie komedye — farsy Bałuckiego i Przybylskiego wypełniały repertoar.

Lecz ożywienie, pojawiające się u nas na wszystkich polach życia umysłowego po 1890 roku radykalnie zmieniać poczęło i fizyonomię naszych teatrów.

Wraz z rozkwitem poezyi, rozkwitać począł i dramat we wszystkich swych formach. W ciągu kilku lat pojawiają się młode siły piszące dla teatru. Zwalczają one nietylko obojętność tłumu, ale i brak sceny. Niema bowiem sceny w Polsce dla wielkiej, podniosłej sztuki dramatycznej.

W Warszawie leży w systemie rządowym niedopuszczanie na scenę sztuk głębszych, nastrajających na nutę tragiczną. Teatry rządowe zgóry więc wykluczają z repertoaru sztuki podniosłe, celem bowiem jest trzymanie ludności w uśpieniu przez rozbawienie.

W owym to czasie niezapomnianej wagi zasługę dla rozwoju sztuki dramatycznej w Polsce położył ówczesny kierownik teatru krakowskiego, Tadeusz Pawlikowski (1894—1899). Był to dyrektor-artysta, miłośnik sztuki w najszlachetniejszem znaczeniu słowa, subtelny znawca. Odrazu cały rój młodych talentów garnął się do tego dyrektora — i on oczekiwań nie zawiódł: nietylko dał wyborne siły dramatyczne, ale on to wydobył pierwszy na światło dzienne szereg talentów młodych. W krótkim czasie przedstawienia krakowskie stały się biesiadą duchową.

Tadeusz Pawlikowski wprowadził na deski teatru pisarzów dramatycznych takich, jak Kisielewski, Przybyszewski, Rydel, Kasprowicz — wreszcie Wyspiański. Poezya w dramacie po kilku latach walki zwyciężyła; a wszystkie jej szczyty i najwspanialsze natchnienia znalazły swój wyraz w wybitnej i oryginalnej —twórczości St. Wyspiańskiego. I oto potężne fale poezyi wrą w Polsce z siłą, jakiej nie było od epoki romantycznej.

Święcimy święto powrotnej fali. W literaturze, podobnie jak w życiu realnem tryumfuje uczucie, nastrój swojski. Jak w literaturze tak i w życiu przez czas pewien panował brak woli i ideału: święcił w polityce orgie u schyłku wieku pod mianem polityki ugodowej. Wrogowie sami postarali się, aby ustąpił miejsca ideałom dawnym, nieprzedawnionym. Wybucha znowu i płonie jarzącym płomieniem uczucie patryotyczne — i rozgrzewają się powoli zlodowaciałe serca. Coraz bardziej unaradawiają się wszystkie warstwy ludności. — Sztuka i literatura coraz wierniejszem się staje odbiciem natury polskiej.

Najwspanialszy tryumf temu zwrotowi literatury ku źródłom narodowej myśli zgotował poeta „z bożej łaski" — *St. Wyspiański.* Ręką pewną i śmiałą przeprowadził on w „Weselu" (1901) wiwisekcyę duszy narodowej — i wydobył na jaw, i ukazał jako klątwę: ową słabość dusz, niemoc czynów, bezpłodność porywów, bezwładność. A tym kajdanom ducha narodowego przeciwstawił szereg mytów narodowych, drzemiących w głębiach dusz naszych.

W „Weselu" z tragiczną siłą oddał poeta grozę owej chwili, gdy naród ma się zbudzić — i nie może. Niemoc niezdolna zrodzić czynu. Klucz przyszłości zaginął — wicher go lasami niesie. Zamiast czynu — niemoc, zamiast ocknienia — senność.

Na czem polega znaczenie Wyspiańskiego wobec rozwoju myśli narodowej?

Oto jak p. Feldman zapatruje się na znaczenie „Wesela" z tego punktu widzenia: Naród, który chce zmienić kształt mapy politycznej świata, musi mieć siłę, aby zmienić — siebie. Stawianie przed oczy podobnej pochodni wśród ciemności jest już samo w sobie czynem wielkim zarówno poetyckim jak i narodowym.

Podobnym czynem jest „Wesele." Od czasów historycznych powieści Sienkiewicza żaden utwór nie wstrząsnął tak głęboko narodem, nie wywarł takiego wpływu na podniesienie nastroju patryotycznego, — lubo Wyspiański przemawia do narodu surowiej niż Sienkiewicz i boleśniejsze, groźniejsze prawdy mu mówi, od których niejeden twarz odwraca i niejeden próbuje je w śmiech i tanią ironię obrócić.

„Wesele" jest rewizyą sumienia narodowego. Od lat już powtarzano hasło: „z szlachtą polską — polski lud." Hasło to przeszło rozmaite fazy: było za Kościuszki i w roku 1830 więcej szlachtą niż ludem, w r. 1848 i 1863 więcej ludem, niż szlachtą -- ale w teoryi, wśród deklamacyi i frazesu.

Czy się to teraz zmieniło na lepsze? „Wesele" daje odpowiedź ujemną; i dziś zbratanie się warstw społecznych nie jest prawdziwem, nie jest czynem, z którego czyn się zrodzić może, — jest teoryą, frazesem, jak było. W poemacie dramatycznym, (jakim jest Wesele) wcielenie ideału schodzi na ziemię, Wernyhora przynosi ze sobą Złoty Róg, mający zagrać pobudkę zmartwychwstania: lecz senność nie jest przezwyciężona — czyn nie następuje...

W ostatnim rozdziale dzieła pana

Feldmana znajdujemy jakby ekstrakt wszystkiego, cośmy widzieli w rozdziałach poprzedzających. Autor po raz ostatni robi z nami przegląd, wprowadza nas niejako na górę, z której rzucamy okiem na całą drogę, którą przebyła myśl narodowa w ciągu lat ostatnich dwudziestu.

Widzieliśmy jak z atmosfery obcej, zimnej, będącej żywem zaprzeczeniem zgasłych wielkich romantyków narodowych, — z atmosfery znieczulenia ducha narodowego — po roku 1880 powoli zaczął się wyzwalać duch mocą tlejących na dnie i pod popiołami iskier uczucia patryotycznego.

Uczucie to wystąpiło zrazu jako odczucie bólów i łez społecznych (Konopnicka), jako szereg haseł urastających do znaczenia nowych ideałów społecznych (T. T. Jez. — Bol. Prus), u innych przejawił się jako dążność do przeszłości rodzimej, jako uwielbienie sławy drzemiącej na dnie nieszczęść naszego narodu, rycerskich bojowych wizyi (H. Sienkiewicz.)

Rozbudzona raz ta uczuciowość podejmuje na nowo rewizyę ideałów narodowych, szuka odpowiedzi na tysiączne zagadki, a w tem szamotaniu się odsłania się cała głębia duszy polskiej i krystalizuje w perły szczerej poezyi. (J. Kasprowicz i St. Wyspiański).

Wszędzie mamy powrót do uczucia, wszędzie występuje na jaw czynnik rodzinny, — sztuka zabarwia się charakterem narodowym.

Na całej linii widzimy zwrot ku czynnikom narodowym, odpowiadający temu napięciu uczucia, wzrostowi siły i świadomości narodowej i spotężnieniu duszy polskiej; jakie z brzaskiem nowego stulecia zapłonęło na horyzoncie dziejowym. Żywiołowość ta, ten zwrot ku uczuciu wybija się też jako czynnik dominujący, aby odrzucając wszelką apatyę i rezygnacyę z narodowych praw, rzucić całemu światu, i to z serc najprostszych, nieśmiertelne polskie: *Żyjemy i żyć chcemy*!

Dokonywuje się w całej naturze polskiej obecnie przemiana — proces wewnętrznego łamania się. W zestawieniu ze stanem z przed lat dwudziestu świadczy on, że naród obecnie już znalazł drogę do nawiązania swych współczesnych ideałów — do ideałów Mickiewicza i Słowackiego, — świadczy, że duch nie zamarł, lecz żyje i że wkraczamy w fazę prawdziwego odrodzenia ducha narodowego.

Taką jest kwintesencya wybornego dzieła p. Feldmana o ruchu umysłowym Polski w ciągu ostatnich 20 lat. . Odkładamy na bok tę książkę po przeczytaniu — pokrzepieni na duchu, silniejsi, pewniejsi.

Z „Dziejów Piśmiennictwa" tryska zdrój szczerej, niesfałszowanej wiary w przyszłość i zrozumienie zawiłej nieraz drogi, jaką przebywać musiała dusza narodu, aby znalazłszy się na dnie przepaści po r. 1863 — odzyskać na nowo utracone siły, aby stać się sobą. Książka p. Feldmana jest cennym dorobkiem literatury naszej.

On.

Z TYGODNIA.

Podróż rosyjskiego ministra spraw zagranicznych hr. *Lambsdorffa do Paryża* oraz zjazd *cara Mikołaja z cesarzem Wilhelmem w Wiesbadenie* wywołał znów w prasie europejskiej prawdziwą falę przypuszczeń, domysłów, wniosków i kombinacyi politycznych. Wyłuszczenie z tej fali jądra prawdy jest rzeczą trudną, tem bardziej, że uprawiana obecnie przez wszystkie mocarstwa tak skwapliwie polityka związków i asekuracyi na dwa fronty uniemożliwia niemal należytą ocenę łączących się z tą polityką objawów zewnętrznych. To jednak zdaje się być rzeczą pewną, że mylne jest przypuszczenie znacznej części prasy, jakoby Rosya zaniepokoiła się nagłym zwrotem polityki *francuzkiej ku Anglii* i nawiązanemi niedawno przez oba te państwa serdeczniejszemi stosunkami. Przeciwnie, zdaje się raczej, że to zbliżenie się *Francyi do wielkiej Brytanii* było i jest *Rosyi* bardzo na rękę. Rządowi carskiemu w jego obecnej polityce *wschodnio-azyatyckiej* dużo zależy na tem, ażeby ze strony mocarstw europejskich Rosya nie doznawała trudności i przeszkód. W tym względzie chodzi jej głównie o *Anglię* i*Niemcy*. Skorzystała więc zapewne z nowej przyjaźni fracuzko-angielskiej, aby w tym kierunku wywrzeć wpływ na *Anglią* za pomocą *Francyi*. Trafnem też wydaje nam się przypuszczenie paryskiego „Figara'', iż podróż hr. Lambsdorffa miała na celu nakłonienie rządu francuzkiego, aby udzielał rządowi angielskiemu „rad politycznych.'' Na czem te rady polegać mają, nietrudno się domyśleć. Anglia ot nie ma popierać wojennego animuszu *Japonii*, nie ma żądać, aby Rosya jednak ustąpiła z *Mandżuryi*.

O to, co hr. Lambsdorff osiągnąć miał w Paryżu, *car* starać się będzie osobiście w *Wiesbadenie*. Jak głoszą, między carem a cesarzem Wilhelmem niema osobistej harmonii, cóż znaczą atoli osobiste sympatye i antypatye monarchów w polityce! Rosya potrzebuje dziś Niemiec a właśnie w ostatnich latach stosunki między nią a tem mocarstwem znacznie się oziębiły. Faktem podobno jest, że akcya rosyjsko-austryacka na Bałkanie nie cieszy się szczerem uznaniem w Berlinie, że jeżeli tam zgodzono się na nią, to tylko pod naciskiem solidarności innych mocarstw w tej sprawie. Akcya ta sprzeciwia się celom niemieckim w tureckiej Azyi, sprzeciwia się całemu stosunkowi Niemiec do Turcyi, która w cesarzu Wilhelmie widzi naturalnego swego opiekuna.

Jak bardzo widocznie w Konstantynopolu liczono na opiekę Niemiec przeciwko zbytniej natarczywości *Rosyi* i *Austro-Węgier* w sprawie *macedońskiej*, wynika z wieści, według których w stolicy sułtana panować ma wielkie rozgoryczenie przeciwko Niemcom za to, że opuściły Turcyę w tak krytycznej chwili. Rosyi zależy więc na tem dużo, ażeby osłodzić Niemcom ich trudne stanowisko w tej sprawie, a zarazem odwieść ich od ewentualnego odwetu w kwestyi *mandżurskiej*. I tem się też tłomaczą zapewne niezmiernie czułe i serdeczne głosy, jakiemi prasa rosyjska wita ten zjazd wiesbadeński.

Wszystko przemawia za tem, że car w tej nowej swej misyi „pokojowej'' będzie szczęśliwszy, niż w poprzednich. Jeżli bowiem Rosyi dużo zależy na przyjaźni *Niemiec* w obecnej chwili, to niemniej *Niemcom na utrzymaniu dobrych stosunków z Rosyą*. Niemcy są dziś naprawdę *odosobnione*, a bynajmniej nie w charakterze owej „splendid isolation'', czyli „świetnego odosobnienia,'' w jakiem do niedawna znajdowała się Anglia. Obecnie toczą się też układy o nowy traktat handlowy *niemiecko-rosyjski*. Traktat ten ma dziś dla Niemiec tem większe znaczenie wobec agitacyi, jaką w Anglii rozpoczął *Chamberlain* za nową polityką celną, która w pierwszym rzędzie da się dotkliwie odczuć Niemcom. Więc za pewnik uważać można, że w Wiesbadenie obie strony naprawdę wysadzać się będą na serdeczność i czułość, podczas gdy hr. Buelow i hr. Lambsdorff wytężą cały swój kunszt dyplomatyczny, aby ztąd największe dla swoich celów zdobyć korzyści.

Czy będzie przytem mowa także o nas *Polakach*, czy to nowe zbliżenie się Rosyi do Niemiec odbije się także na naszych interesach i sprawach, trudno przewidzieć. Dobrego w każdym razie ze zjazdu tego *nic dla nas nie wyniknie*.

Turcya nie odpowiedziała jeszcze na notę Rosyi i Austryi w sprawie rozszerzenia reform w Macedonii, o czem pisaliśmy obszernie w przeszłym naszym przeglądzie z Tygodnia. Rozchodzą się pogłoski, że zamierza się opie-

[illegible] jeszcze w opiekę Niemiec. Ale zjazd wiesbadeński zapewne odbierze jej i tę ostatnią nadzieję, i tak zmuszoną będzie do twardej konieczności przyznania szerszych praw swym chrześciańskim poddanym. W przewidywaniu takiego skutku akcyi Rosyi i Austryi, przywódzcy powstania wydali też hasło przerwania powstania *do wiosny.*

Podróż *cara do Rzymu* miała być tylko, według urzędowych zapewnień, *odroczoną*, a nie zupełnie zaniechaną. Tymczasem dziś mniej pozostało nadziei, iż rzeczywiście przyjdzie jeszcze do skutku, niż było w pierwszej chwili po jej odwołaniu. Gabinet włoski *Zanardellego* podał się rzeczywiście do dymisyi, ale miejsce jego zajmie gabinet zapewne *jeszcze radykalniejszy* niż był obecny. Prezesem nowego gabinetu będzie *Giolitti*, a oprze się on na najskrajniejszych żywiołach parlamentu, które zapewne nie będą — anticarskich prądów we Włoszech energiczniej zwalczały, niż to czynił Zanardelli. Ale i dla *Stolicy św.*, która otrzymała teraz nowego sekretarza stanu w osobie młodego Hiszpana ks. *Merry del Val*, jest ta zmiana gabinetu we Włoszech objawem niepomyślnym. Swoją drogą, pierwszy to od lat wielu wypadek, iżby zewnętrznemi sprawami Stolicy św. kierował nie Włoch, lecz kardyn. *innej* narodowości. Dowodzi to, że *Pius X* nie krępuje się tradycyą, że własną pójdzie drogą. Oby i dla nas ta droga była pomyślną!

Między cesarzem *Franciszkiem Józefem a Węgrami* nareszcie poprawiły się stosunki. Stało się to atoli — jedynie dzięki *znacznym ustępstwom narodowym na rzecz Węgrów.* Otrzymali oni teraz podstawę do wytworzenia prawdziwie narodowej armii w blizkiej już przyszłości; z szumnego rozkazu do armii, jaki cesarz Franciszek Józef wydał z galicyjskiej wioski *Chłopy*, nie wiele pozostało. Nie dano jeszcze Węgrom komendy węgierskiej w armii, ale i tę wywalczy sobie rychło, gdyż większość Sejmu węgierskiego i co do tej sprawy zastrzegła sobie *wpływ równy temu, jaki ma korona.* Nowy gabinet węgierski utworzył już hr. *Stefan Tisza.* Napotka on zapewne jeszcze na opozycyą ze strony trudnej do przejednania węgierskiej *partyi niezawisłości*, ale i ta w końcu zadowoli się osiągniętemi zdobyczami. Swoją drogą odzywają się już głosy w prasie czeskiej i *polskiej* w Galicyi, które takich samych ustępstw w dziedzinie wojskowej żądają słusznie dla *Czechów i Polaków.*

W Hiszpanii i we Francyi, mianowicie w Paryżu tydzień ubiegły przyniósł zaburzenia strejkowe, w których krew płynęła obficie. Z powodu zaburzeń paryzkich poniósł w francuzkiej Izbie deputowanych małą porażkę także prezydent gabinetu *Combes.* Lecz mimo to stanowisko jego jest jeszcze dość silne niestety.

W Sejmie pruskim spotkają się zapewne nowi *polscy posłowie* zaraz na wstępie, gdy wytoczą nasze krzywdy z twierdzeniem, że Polacy tak samo postępują w *Galicyi z Rusinami.*

Zalecamy więc kandydatom na posłów już dziś wyczerpujące studyum stosunków Rusinów w Galicyi, aby mogli odeprzeć te bezpodstawne zarzuty. Faktycznie bowiem Rusini w Galicyi posiadają tyle praw, że *gdybyśmy* je mieli, kto wie czy nie uprawialibyśmy znowu — polityki ugodowej! Tylko Niemcami przez to bynajmniej jeszcze byśmy się nie stali!

M. O.

Przegląd prasy.

W przedwyborczej walce stronnictw, której kres położy walne zebranie delegatów, kilku duchownych brało żywy udział, występując przeciwko ludowcom jak n. p. ksiądz Szafranek w Kościanie, ks. Świdziński w Środzie i ks. Sypniewski w Jarocinie, który w niestósowny sposób ujawnił tam niechęć dla posła Mielżyńskiego, a następnie w artykule w „Kur. Pozn.,“ mieszając sprawę kościoła z polityką wystąpił z dziwacznem żądaniem, aby kandydaci zdawali niejako egzamin czy są dobrymi katolikami. „Dzien. Berl.“ zauważa słusznie, że „przypomina to smutnej pamięci „punkta kościelne,“ których autorzy wywołali wtedy zupełnie niepotrzebne rozdarcie społeczeństwa na dwa wrogie obozy na tak zwanych ultramontanów i liberałów.“ Wobec tych występów, podkopujących znaczenie duchowieństwa, ozwał się rozumny głos z pośród duchowieństwa, ostrzegający przed narzucaniem ogółowi polityki konserwatywno-ugodowej oraz przed zbytniem mieszaniem się w wir polityczny. *Ks. dr. Skrzydlewski* z Ponieca nawołuje duchowieństwo, by stanęło na stanowisku *bezstronnem*, pisząc między innemi:

„Walczmy o zasady polityczne uczciwie, ale szanujmy się nawzajem, nie odsądzajmy się od czci i wiary.

„Ostatnie wiece bodaj, aż nadto uwydatniły zanik wpływu wielu duchownych na lud, — i wiele ,bardzo wiele będzie potrzeba pracy, aby tę stratę w przyszłości powetować.

„To jest faktem, z którym nam się liczyć trzeba. — On powinien być nam duchownym przestrogą na przyszłość. W tym kierunku, przeciw ogólnemu prądowi iść nam dalej — bez narażenia powagi Kościoła na szwank, nie wolno.

„Walki partyjne — jak wszystko ziemskie wnet przeminą — a jakież pytam, będzie położenie tych duchownych wobec ludzi, którzy dziś w zbytnim zapale się zaangażowali, jeżeli np. partya ludowa gorącej i skuteczniej zdoła bronić spraw katolickich, aniżeli to było w ostatnich czasach możliwem w ciałach prawodawczych. Nie potrzebuję dodawać, że poszczególne artykuły dziennikarskie, nie podpisane nazwiskiem — nawzajem zwalczających się redakcyi — nie są dla mnie miarodajne do wydawania sądu.

„Miarodajnemi są jedynie występy publiczne kandydatów samych, a w nich dotychczas — w żadnem stronnictwie, prócz socyalistów — wrogich Kościołowi zdań dopatrzeć się nie mogłem; a więc ostrożnie z ogniem — stańmy stosownie do naszego stanowiska — *ponad partyami* jak na duchowieństwo przystoi.“

Wiadomo, że z powodu braku programu i innych ważnych przyczyn *ruch t. zw. ludowy*, albo raczej demokratyczno-postępowy dla bardzo wielu ludzi, nawet pomiędzy inteligencyą, jest całkiem niezrozumiałym. Ztąd błędne lub mętne poglądy przedostają się o naszej polityce do pism zakordonowych. Nawet *„Kuryer Warszawski“* niby informując swych Czytelników o sytuacyi przedwyborczej przez swego korespondenta poznańskiego, nie informuje ich wcale. Bo korespondentowi raz wydaje się, że we walce tej chodzi o zasady, to znowu wygłasza zdanie, wręcz przeciwne. Nie przywięzuje on znaczenia do „rzekomych“ antagonizmów pomiędzy stronnictwami, aby zaraz potem twierdzić, że „antagonizmy istnieją niewątpliwie.“ Czytelnik dowiaduje się jedynie, że „tło społeczne walki obecnej niema bynajmniej charakteru klasowości jaskrawej“ i to wszystko — tak, iż po przeczytaniu artykułu, jest tak mądrym jak przedtem.

Skoro tylko gruchnęła wieść, że *klerycy poznańskiego seminaryum* będą uczęszczać do akademii hakatystycznej i ze strony „Kuryera Poznańskiego“ zaprzeczono temu — zapewniliśmy Czytelników naszych, że wieść ta zgadza się z prawdą. I teraz mimo wszystko *„Kuryer Pozn.“* potwierdza to we formie dyplomatycznej „z wiarogodnego źródła,“ a *„Dzien. Pozn.“* głosi to w tej formie:

„Niemiecka akademia. Wielka wrzawa(!) o udział naszych kleryków w akademii niemieckiej, kończy się na tem, że pozwolono (!) klerykom brać udział w prelekcyach, które się odbywać będą między 1—6

O przymusie (!) niema mowy. Jest także wersya, że dozwolono tylko słuchać katolickich prelegentów, których ma być pięciu. Nie mieliśmy czasu sprawdzić tego".

Na to zauważa *„Dzien. Berl.“*:

„Na polszczyznę mniej dyplomatyczną prztłomaczywszy, co piszą oba wielkie pisma poznańskie, znaczy to, że władza duchowna znowu uległa parciu rządu i „pozwoliła“ klerykom na żądane przez niego uczęszczanie ich na prelekcye instytucyi, założonej nie czasem dla pielęgnowania na niej nauki jako takiej, ale, jak opiewają jej ogłoszone swego czasu przez nas statuta, dla wzmocnienia niemczyzny w polskich dzielnicach.

„Obawiano się po prostu, że akademia hakatystyczna, nie udzielająca promocyi naukowych, świecić będzie na prelekcyach pustkami, więc brak niemieckich słuchaczy mają zastąpić polscy klerycy, którym miłościwie „pozwolono“ uczęszczać na prelekcye.“

„Później utworzy rząd w akademii wydział teologiczny i władza duchowna znowu „pozwoli“ klerykom na prelekcye uczęszczać, aż w końcu rząd wogóle istnienie seminaryum duchownego uzna za zbyteczne. Rzecz oczywiście nie warta — wrzawy!“

Zwracamy uwagę czytelników na korespondencyą naszą z miasta, która rzuca na tę sprawę światło.

Proces hrabiny Izabeli Kwileckiej z Wróblewa o rzekome podsunięcie dziecka jest wielką sensacyą dnia. Referują o nim pilnie gazety niemieckie i nie szczędzą komentarzy, polskie zaś poprzestają na sprawozdaniach lękając się przyjrzeć smutnemu obrazowi obyczajowemu, jaki wyłania się z procesu. *„Dzien. Berl.“* jedynie poświęca tej sprawie artykuł poglądowy, w którym zauważa, że jak „proces gnieźnieński pokrzepił serce polskie, proces hr. Kwileckiej bez względu na to jaki zapadnie wyrok, przygnębia duszę polską.“

„W ostatnich latach — czytamy w „Dzien. Berl.“ — reputacya naszego społeczeństwa w oczach Niemców zaczęła się bardzo podnosić; coraz liczniejsze głosy niemieckie zaczęły się odzywać, że społeczeństwo polskie zupełnie się przetopiło i zmieniło, że stało się poważnem, solidnem i oszczędnem, i że tak zwana „polnische Wirthschaft“ należy już do przeszłości. Pod tym względem proces ten przynosi nam nieobliczoną krzywdę.

„Można uważać winę hrabiny Kwileckiej za niedowiedzioną, ale nie można nie potępiać tego, co się widocznie działo w pałacu Wróblewskim; tak mało poważny pogląd na życie w obecnych czasach jest wprost zdrożnym, sądziliśmy że tego rodzaju tło obyczajowe, przypominające najgorsze czasy epoki saskiej, obecnie w polskim szlacheckim domu już jest niemożliwem, ze smutkiem widzimy, że jednak ta *bezdenna lekkomyślność naszej arystokracyi nie zupełnie została wytępioną,* prasa niemiecka zaś postara się już o to, aby z tego pojedyńczego wypadku wysnuć wnioski, dotyczące całego naszego społeczeństwa i naszej rzekomej niekulturalności.“

Sprawę pomnika Bismarcka poruszyli dwaj polscy radni w poznańskiej radzie miejskiej, wyświetlając stanowisko społeczeństwa naszego wobec pomnika. P. Kużaj zapytał burmistrza jakiem prawem przyjął pomnik ten pod opiekę miasta — bez zatwierdzenia Rady. Zarazem podniósł, że my nie uważamy Bismarcka za wielkiego człowieka, lecz wraz z pewnym biografem żelaznego kanclerza rządy jego uważamy za brutalne. Zresztą hakatyści stawiając ten pomnik w Poznaniu chcieli prowokować Polaków. Burmistrz dr. Wilms tłomaczył się ,iż nie miał zamiaru obrażać uczuć Polaków, poczem radny dr. A. Chłapowski podniósł, iż dwie niemieckie gazety poznańskie podobnie jak Polacy zapatrywały się na pomnik Bismarcka oraz upominał, aby przez to nie wynikły dla miasta dalsze wydatki.

Na to rektor Lehmann z krzyżacką butą odparł, że o tem Niemcy będą rozstrzygać. W tym samym duchu przemawiał prof. Binder wśród oklasków większości żydowsko - hakatystycznej.

„Polskim naszym mówcom — czytamy w „Kur. Pozn.“ — przeszkadzali, ile tylko mogli, złośliwemi uwagami mianowicie *żydowscy radni* a znany p. asesor dr. Jaffe dał wyraz własnym i swych współwyznawców uczuciom przez postawienie wniosku o przejście do porządku dziennego nad wnioskiem p. J. Kużaja. Naturalnie, że wniosek ten przeszedł większością głosów.“

„Dzien. Berliński“ przyniósł dwie charakterystyczne wiadomości, a mianowicie, że w *Bielanach,* będących własnością konsystorza katolickiego nadrządzcą jest *Niemiec-protestant* z pensyą 4 tys. marek, oraz że sprawa *biblioteki Raczyńskich* w Poznaniu wpadła w wodę, ponieważ hr. Edward Raczyński nie chce się w nią mieszać, gdyż rząd mógłby go jako obcego poddanego wydalić, a hrabiemu chodzi o uzyskanie poddaństwa pruskiego dla jednego z synów. Wiadomości te mówią same za siebie.

Z powodu artykułu *Quis'a: Hodowla miernot* zabrał głos w *„Gońcu W.“* „M. P.“ i stwierdza, że w Poznaniu przeszedł on bez wrażenia.

„Boć chyba na seryo traktować nie można zdawkowych frazesów „Dziennika Pozn.“, obliczonych li tylko na ratowanie sytuacyi, na osłabienie wrażenia, które artykuł „Pracy“ był mógł i był powinien wywołać. Fakt, że nasza t. zw. inteligencya nad świetnemi uwagami „Pracy“ spokojnie przeszła do porządku, nie pozwalając sobie błogiego przerwać snu, fakt ten najlepiej ilustruje smutne ale prawdziwe twierdzenie autora (Quis'a), że żyjemy w „kraju ciemności“, w polskiej Boecyi.“

Godząc się na wywody Quis'a M. P. przypisuje główną winę samym czytelnikom pism dla inteligencyi, których poziom umysłowy jest niższy, aniżeli czytelników „Anzeigera.“ Temu poziomowi odpowiada zupełnie poziom „poważnej“ prasy — „bezdennie jałowej.“ A ubóstwu duchownemu odpowiada najkompletniej *polityczna* apatya odnośnych kół. Podobnie ma się z drugim momentem uniewinniającym rzekomo t. z. inteligencyą — *pracą zawodową,* która nie absorbuje jej tak dalece, aby nie stało czasu ani myśli na studya literatury, sztuki i dzieł nowoczesnej nauki.

„Nie, szanowni panowie! — kończy M. P. w *„Gońcu“* — to wszystko tylko wymówki, to tylko frazesy, któremi usiłujecie oczy zamydlić rodakom z innych zaborów. Nie praca polityczna, nie walka ekonomiczna, lecz — apatya, filisterstwo, lenistwo i bezduszność: oto przyczyny kulturalno-umysłowej ruiny naszej t. zw. inteligencyi, oto klątwa spoczywająca na naszym „kraju ciemności,“ na polskiej Boecyi.“

Tak, jesteśmy w kraju ciemności! Pragnęlibyśmy o tem zapomnieć, łudzić się, że tak nie jest, ale co chwila znajduje się ktoś, by rozwiać ułudy i obnażyć całą wsteczność pojęć, cały obskurantyzm rozwielmożniony na bruku poznańskim.

„Wielkopolanin“ wyrwał się jak Filip z konopi z powodu zapowiedzianego odczytu pani Jadwigi Gulińskiej „o prądach społecznych w najnowszej literaturze polskiej“ w Stowarzyszeniu personalu żeńskiego w handlu i przemyśle. „Wielkopolanin“ dodaje od siebie w stylu orędownikowym

„że znaną jest rzeczą, że p. Jadwiga Gulińska jest agitatorką socyalistyczną. Niech się więc członkowie Stowarzyszenia dobrze zastanowią nad tem, czy zarząd postąpił słusznie, zapraszając z odczytem agitatorkę socyalistyczną. Wszystkie pisma polskie powinny energicznie wystąpić przeciwko takiemu przemycaniu socyalizmu.“

„Wielkopolanin“ w roli nieproszonego doradzcy prasy! Odkąd to synek prowadzony na pasku wyrósł na mentora? Jeżli „Wielkop.“ prawi innym pismom co *powinny* robić, możemy go zapewnić, że powinien milczeć w wszystkich sprawach dotykających kulturalnych zadań i ideałów ludzkości, gdyż na partykularzu jego o takich rzeczach

głucho. Niech praktykuje w swem kółku bojkot dla przekonań, niech wkrada się w łaski swych protektorów, jeżli bez tego istnieć nie może, ale niech nie daje rad innym, niech nie stara się zciągnąć innych w błoto obskurantyzmu, niech nie nadstawia grzbietu.

Zresztą czy *„Wielkop.“* zapomniał, jak sromotną, moralną klęskę odniósł ks. Zimmermann z swej kampanii przeciwko Czytelni kobiet? Czy *„Wielkp.“* nie wie, że całe Towarzystwo dziennikarzy z p. Józefem Kościelskim i dr. Wł. Łebińskim na czele, podpisało niedwuznacznie nasze zapatrywanie, że prof. Chmielowski stanął w obronie bojkotowanej w imie zasady, przyświecającej każdemu człowiekowi *kulturalnemu*, że dzięki ks. Zimmermannowi dostała się Poznaniowi nazwa: „kraju ciemności“?

Przypominamy to również ks. Zimmermannowi, który przez swój niefortunny debiut w dziennikarstwie nie zaskarbił sobie względów *nikogo* a stracił bardzo wiele w pojęciu ogółu. Sięgał po laury a zdobył — pokrzywy. Chyba dzisiaj, zyskawszy więcej doświadczenia, ks. Z. pojmuje, iż bawił się w bardzo niebezpieczną grę i zarówno w własnym interesie jak w interesie osób stojących po za „Kuryerem“, poskromi swe wojownicze zapały.

Redakcya.

Głosy od Przyjaciół.

Z miasta, 3 listopada.

(Klerycy a akademia poznańska.)

Znając tutejsze stosunki nie wątpiłem ani na chwilę, że ostatecznie klerycy tutejszego seminaryum duchownego będą zmuszeni uczęszczać na wykłady do tutejszej akademii. Zaznaczyła też to bardzo słusznie „Praca“ czerpiąc swe informacye z dobrego źródła. Pokazało się teraz, co warte były uroczyste zaprzeczenia „Kuryera.“ Dowiaduję się bowiem *z zupełnie wiarogodnego źródła*, że władza duchowna stanowczo *nakazała* klerykom pierwszego kursu, że *albo będą chodzili na wykłady, albo opuszczą seminaryum.* Początkowo usiłowano wszelkiemi sposobami wpłynąć na kleryków, żeby się zapisali na wykłady. Skutek był taki, że kilku Niemców i kilku Polaków się zapisało, ale Polacy niebawem kazali się wykreślić. Na to odpowiedział regens seminaryum powyższym *kategorycznym rozkazem.* Co na to władza duchowna i „Kuryer Poznański?“

X.

* * *

Z miasta, 2 listopada.

(W sprawie Tow. Przyjaciół Sztuk pięknych.)

Pozwolisz Szanowny Redaktorze, że zabiorę głos w kwestyi, która jak sądzę nie jest obojętną całemu naszemu społeczeństwu miłującemu piękno i sztukę. Chce pomówić o nowo zawiązanem Tow. Przyjaciół sztuk pięknych, której inicyator p. Krzyżanowski został świeżo wydalony jako obcy poddany.

Na czele Tow. podobno stoi prezes, wiceprezes, sekretarz i skarbnik — powtarzam podobno — gdyż nikomu urzędownie to obwieszczonem nie było. Jako członek towarzystwa mam zaś prawo zapytania się, gdzież są ci panowie i co działają. Jest chyba obowiązkiem całego zarządu zdać relacyę z wyborów, zawiadomić nas, kto po panu Krzyżanowskim ma objąć zarząd i upewnić nas, że wbrew życzeniu hakatystów Tow. nasze ma zapewniony byt i warunki rozwoju. Zdaje się, że przez wydalenie pana K. władze chciały podkopać Towarzystwo, bo każda polska instytucya jest im solą w oku; wobec tego przeto ambicya narodowa wymaga, abyśmy Tow. podtrzymali. A potrzeba nam w Poznaniu salonu, gdzie szerokie masy mogłyby się przekonać, iż istnieje polska sztuka, i wyrabiać poczucie piękna i smak estetyczny. Za pośrednictwem wystawy inne miasta polskie oddziaływać mogą na Poznań pod względem kulturalnym, czego nam niedostaje.

Dawniej gdyby wystawa nie prosperowała, można było zwrócić artystom obrazy — oddać abonentom kilkadziesiąt marek złożonych jako roczną składkę — zamknąć lokal i... finita la comedia — ale dziś tego nam uczynić nie wolno... Dzisiaj jeżli już — nie ceniąc grosz ciężko ofiarowany dla poparcia instytucyi to dla tego — abyśmy naszym antagonistom nie dali broni do ręki — powinniśmy wszelkiemi siłami dążyć do utrzymania naszego Towarzystwa.

Pod tym względem najważniejszą rzeczą jest, kto będzie zarządzcą i głównym opiekunem wystawy. Znając miejscowe stosunki wiem, że żaden z artystów obecnie zamieszkałych w Poznaniu nie posiada kwalifikacyi na to. Obawiam się przytem, żeby w zarząd Towarzystwa i wystawy nie wkradła się *stronniczość*, która w następstwie okazałaby się bardzo zgubną dla instytucyi. Zniechęceni i zrażeni malarze nie posełali by swych obrazów na wystawę i publiczność odstręczyła by się od wystawy. Na dyrektora potrzeba przedewszystkiem człowieka bezstronnego (a więc nie koniecznie malarza), a przytem miłośnika sztuki, obdarzonego pewną znajomością rzeczy i smakiem, a sumiennego i młodego. Dlatego komitet Towarzystwa powinien się rozejrzeć i z swego łona wybrać kogoś ktoby w imię idei objął nadal ster naszej nowo założonej, a tak sympatycznej instytucyi. — To też jako członek Tow. Przyj. Sztuk Pięknych proszę, aby prezes i sekretarz Towarzystwa — poinformowali nas — co mają zamiar na przyszłość uczynić,

Czytelnik „Pracy.“

Nasi kandydaci

w okręgach, w których mamy widoki przeprowadzić polskich posłów.

Na walnem zebraniu delegatów i komitetu centralnego w Poznaniu dnia 5-go bm. ustanowiono na okręg:

I Śrem—Środa—Września

a) *J. Głębocki* głosami 24 przeciwko 14
b) ks. prał. *Stychel* głos. 33 przeciwko 5
c) dr. H. *Szuman głos.* 36 przeciwko 2

II Kościan—Grodzisk — Nowotomyśl—Śmigiel

a) dr. W. *Skarzyński* głos. 27 prz. 11
b) dr. Z. *Dziembowski* głos. 22 prz. 16

Delegaci stawili listę: dr. Skarzyński i dr. F. Niegolewski, lecz przy głosowaniu ludowi delegaci oddali drugiemu kandydatowi czarne gałki, ponieważ miał on widoki pozyskania kandydatury gdzieindziej a tu chodziło o przeprowadzenie p. Fr. Morawskiego. Z kolei przyszło do balotowania nad kandydaturą pana Morawskiego. Padło za nim 19 gałek i 19 gałek przeciw niemu. W myśl regulaminu los roztrzygał. Gdy przewodniczący p. szamb. Cegielski wyciągnął czarną gałkę i kandydatura pana Morawskiego przepadła, jeden z delegatów oświadczył, że p. dr. Dziembowski, który pierwotnie zrzekł się kandydatury, gotów jest przyjąć mandat. Przy balotowaniu otrzymał większość głosów.

III Pleszew—Jarocin—Koźmin—Krotoszyn

a) dr. A. *Chłapowski* głos. 28 prz. 10
b) ks. dr. *Jażdżewski* głos. 29 prz. 7

IV Ostrów—Ostrzeszów—Odolanów—Kempno

a) dr. *Mizerski* głosami 34 przeciw 4
b) dr. F. *Niegolewski* głos. 26 prz. 12

Tu p. dr. Mielżyński z Chobienic zrzekł się kandydatury i wskutek tego wypłynęła kandydatura pana dra Niegolewskiego.

V Gniezno—Witkowo

a) *L. Grabski* głosami 36 przeciwko 2

VI Poznań powiat (wschodni i zachodni) i Oborniki

a) ks. prob. *Mendlewski* głos. 35 prz. 2
b) dr. Niegolewski.

Tu delegaci stawili na drugiem miejscu pana Zenona Lewandowskiego, który jednak otrzymał 17 głosów przeciw 20, poczem delegaci stawili dr. Niegolewskiego. W razie gdyby tenże został obranym w dwóch okręgach zrzecze się jednego z mandatów.



Jan Wasilewski.

Na grzyby.

Dział illustrowany.

Z OJCZYSTYCH STRON.

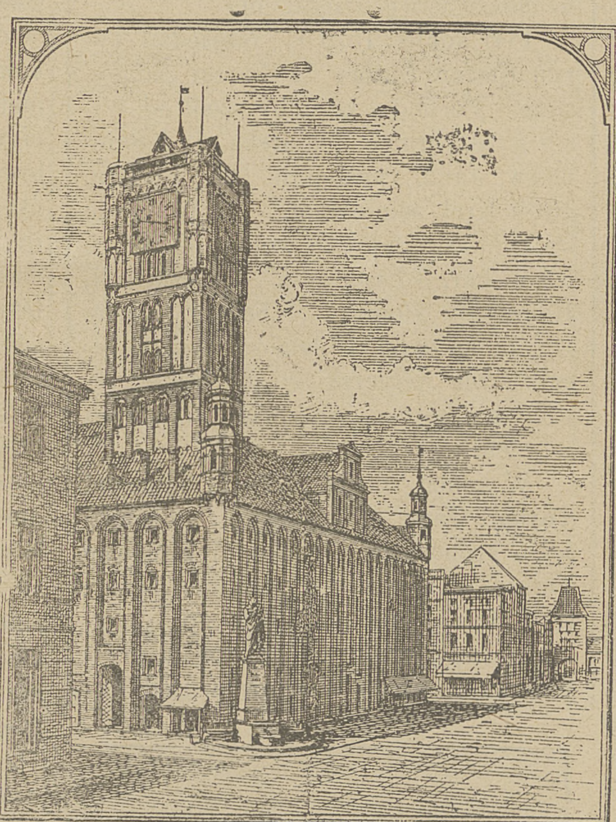
Toruń.

Przed wiekami i dziś.

II.

Mieszkańców miał Toruń, za Krzyżaków, około 11,000. Oprócz kupców bogatych, mieszkali tam w cechy złączeni rzemieślnicy, niektórzy zaś z nich, osobliwie białoskórnicy, płatnerze i kotlarze, „dalekiej sławy zażywali.“ Rada zawsze surowo przestrzegała — opowiada Martynowski — by rzemiosła połączone z większym stukiem i hałasem, tylko za murem lub przy kramach miasta się wykonywały. Rynek sam i ulice do kościoła św. Jana przylegające, gdzie mieszkali bogacze toruńscy, były zatem po owe czasy przytułkiem miejskiego komfortu. Nawet śpichlerze, po większej części w gotyckie szczyty zaopatrzone, musiały się na trzech ulicach przywiślanych chronić, aby gwar handlowy panom rajcom i ich rodzinom nie przeszkadzał w używaniu wygodnego wczasu. Bogatsi mieszczanie nabywali w pobliżu miasta dobra szlacheckie lub je w posagu ze żonami dostawali, bo stosunki familijne między nimi a szlachtą okoliczną zachodziły dość częste. Jako właściciele takich dóbr, stawali mieszczanie toruńscy, razem z sołtysami i ziemianami, którzy wszyscy obowiązani byli do służby wojennej konno, przed sądem ziemskim w Lisiewie, a często bywali na radach sądowych ławnikami.

Toruń wystawiał na każdą wyprawę hufce własne. W r. naprzykład 1388 poszło z Torunia na Litwę 282 zbrojnych jeźdźców, łuczników i włoczników, między którymi byli członkowie najznaczniejszych rodzin, tacy: Watselrodowie, Jeleniowscy, Wasanowie, Meldzińscy, Russowie, Rusopowie.

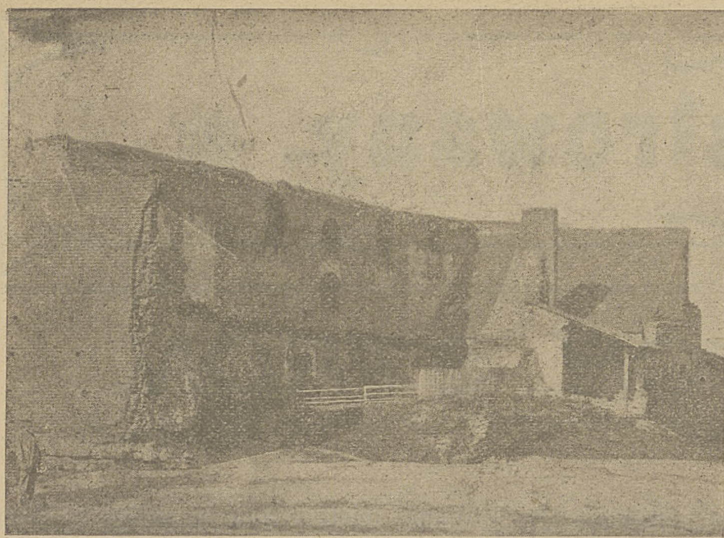


RATUSZ W TORUNIU.
Podług najnowszej fotografii.

Od początku swego istnienia Toruń posiadał część ludności polskiej, a liczba Polaków z biegiem czasu wzrastała przez napływ z okolic i innych stron Polski, więc posiadał ulicę polską, przedmieścia polskie, kościoły i księży polskich. Obok giełdy, w rynku widzimy w r. 1384 pięć kamienic polskich, na 3 innych połaciach po 2. Tyluż mieszczan Polaków mieszkało przy ulicy św. Anny (gdzie się urodził Mikołaj Kopernik), przy ulicy św. Ducha, oraz przy kościele św. Jana — po 4. Do najbogatszych ulic należały: Żeglarska, Biała i Długa, a wszędzie znaleźć można było narodowość polską. Widzimy tedy, że na schyłku XIV w. w całym Toruniu mieszkali Polacy.

Z początku Toruńczanie wiernie stali przy Krzyżakach, ale już za Jagiełły skłaniać się zaczęli ku Polsce. Wielki mistrz, Henryk Reuss v. Plauen, mszcząc się za tę skłonność, złożył 7 rajców z urzędu, a sam mianował 9, mimo, że przywilej chełmiński warował mieszczanom wolny wybór zwierzchności. Rada miejska wszakże srodze go zawstydziła, wybierając ponownie rajców usuniętych. Odtąd zawiązuje się między Toruńczanami a zakonem długa walka, która w r. 1454 doszła do tego, że szlachta i miasta pruskie, między niemi Toruń, wypowiedziały zakonowi posłuszeństwo. Komtur toruński musiał związkowym wydać swój zamek, który natychmiast spalono.

Królowie polscy starali się wywdzięczyć Toruńczanom za ich dla Polski uczucia, co niezmiernie drażniło Krzyżaków; starali się oni kilkakrotnie odzyskać miasto, a wojna o to trwała lat 13. Wreszcie w r. 1466, na mocy traktatu zawartego w Toruniu pomiędzy Kazimierzem Jagiellończykiem a zakonem, Prusy zachodnie i Warmia przeszły pod panowanie polskie. Toruń odetchnął. Kazimierz ulegając prośbom Toruńczan, zniósł na wieczne czasy miasto Nieszawę, pozostawiając jeno zamek, który już za Jagiełły, odkąd go zajęli Polacy, nosił miano Dybowa. Zamek ten, z którego obecnie ruiny istnieją, tragiczne przechodził koleje. Burzony był kikakrotnie to przez Polaków, to przez Krzyżowców, ale zawsze go odnawiano. W r. 1656 szwedzki komendant Torunia usiłował go zburzyć doszczętnie: spotrzebował na ten cel 4 beczki prochu, lecz bez wielkiego skutku. W wieku ubiegłym zamek dybowski coraz bardziej upada, a w r. 1813, w czasie oblężenia przez Rosyan, istniała tylko wieża czworokątna z murem szerokim; od strony Wisły muru nie było. Francuzi wzmocnili tę stronę wałami. Potem wybudowano tam


Ruiny zamku Dybow na lewym brzegu Wisły, naprzeciwko Torunia.

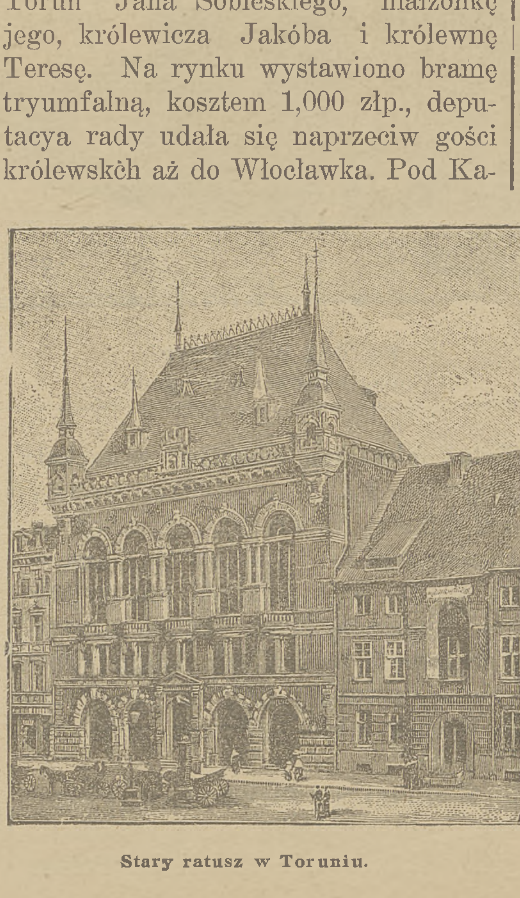
wielkie koszary dla wojska, gdzie widzenia jest godny pomnik pułkownika austryackiego, Franciszka Brusch v. Neuberg, poległego w tem miejscu 1809 roku.

Pod rządem polskim zaczął się dla Torunia okres najświetniejszego rozkwitu; do XVII. w. Toruńczanie trzymali w ręku cały handel z Polską bez podatków. Kupcy toruńscy drzewo i wyroby z niego, wszelkiego rodzaju budulec, wełnę, miód, mięso solone, ryby, wywozili z Polski, dostarczając jej za to win najrozmaitszych — reńskich, francuzkich, hiszpańskich, śledzi, ryb morskich, sukien, jedwabiów, żelaza i korzeni. Pierniki toruńskie słyną po dziś dzień. Obecnie najwięcej wyrabiają t. z. „katarzynek,“ gdyż dawniej na św. Katarzynę odbywały się wielkie jarmarki na pierniki, a piernikarze sprzedawali wtedy towar słodki z wyobrażeniem świętej Katarzyny. W roku 1884-tym zużyto na wyrób pierników 4,500 centnarów miodu i tyleż mąki. Kupcy ze środkowej Europy spotykali się w Toruniu z Armeńczykami, Persami, Turkami; na Trzech Króli trwał w Toruniu jarmark przez dni 4, a na Podwyższenie św. Krzyża — przez cały tydzień.

Z uroczystością nadzwyczajną przyjmował Toruń królów polskich i nowo obranym składał hołdy. Oto jak kronikarz opisuje pierwszy akt hołdu, złożony Janowi Olbrachtowi: „Senatorowie pruscy, w Toruniu zebrani, udali się na powitanie króla na lewym brzegu Wisły, zostawiwszy na prawym tylko biskupa warmijskiego, Łukasza Watselrode. O dwie mile od Wisły spotkali króla, któremu towarzyszył brat jego, Zygmunt. Król, znalazłszy się pomiędzy senatorami, z konia zsiadł, głowę odkrył i każdemu z nich rękę podał, poczem wojewoda malborski, Mikołaj Bażyński, wyraził monarsze żal z powodu śmierci ojca i o potwierdzenie praw i przywilejów pruskich prosił. Król dziękował po polsku i o łasce swojej zapewniał. Znalazłszy się nad Wisłą, wsiadł król z senatorami na statek, czerwonem suknem wybity. Na brzegu toruńskim powitał pana biskup *in pontificalibus*, podał mu do ucałowania relikwie; tam również oczekiwała rada miejska i mieszczaństwo. Król, pod jedwabnym baldachimem, niesionym przez 2 przedstawicieli rycerstwa i burmistrzów toruńskich, udał się do kościoła św. Jana, gdzie się odprawiło nabożeństwo dziękczynne.“

Pod koniec 1576 r. odwiedził Toruń Stefan Batory z Janem Zamoyskim. Pochód powitalny szedł od Wisły przez bramę Żeglarską do kościoła św. Jana, następnie do ratusza, gdzie król zamieszkał. Na przyjęcie króla miasto dało: 28 wołów, 92 skopy, 5 kop kur, 3 kopy gęsi, 3 beczki soli, 10 połciów słoniny, 1 beczkę masła, $1^1/_2$ łanka mąki, 18 łanków owsa, 8 beczek wina węgierskiego, 80 beczek piwa, nie licząc przypraw i innych potrzeb.

W końcu maja 1677 przyjmował Toruń Jana Sobieskiego, małżonkę jego, królewicza Jakóba i królewnę Teresę. Na rynku wystawiono bramę tryumfalną, kosztem 1,000 złp., deputacya rady udała się naprzeciw gości królewskch aż do Włocławka. Pod Kaszczorkiem czekała już druga deputacya. Gdy król stanął na pruskiej ziemi, dano ognia z mnóstwa dział. Kupcy, rzeźnicy i część mieszczaństwa, w pancerzach, ustawili się konno wzdłuż Wisły, czekając na rodzinę monarszą, aby jej do miasta towarzyszyć. Przy moście, obwieszonym czerwonem suknem, witał gości po łacinie burgrabia Baumgarten, potem król radnym i przedstawicielom miasta dał rękę do ucałowania. Pochodowi do miasta towarzyszyły odgłosy kotłów i bębnów. W kościele św. Jana *Te Deum* odśpiewał biskup chełmiński, Jan Małachowski, zkąd, przez bramę tryumfalną, rodzina królewska udała się do ratusza. Wieczorem rzeźnicy urządzili na rynku gonitwy, przyczem palono ognie sztuczne. Królestwo zamieszkali w ratuszu, królewicze przy ul. Szkolnej, w domu, który odtąd zwał się urzędowo „domem królewiczów.“ Na pamiątkę miasto ofiarowało królowi 800 dukatów, królowej 400, królewiczowi 100 a królewnie — kosztowne owoce i kwiaty.


Stary ratusz w Toruniu.

Upominki podobne były od wieków we zwyczaju. Każdy król, raz pierwszy goszczący w Toruniu, otrzymywał za lepszych czasów 1,000 dukatów, królowa 600. Wszelkie zdarzenia w rodzinie królewskiej — urodziny, wesela, pogrzeby, w Toruniu obchodzono wobec rady i wszystkich urzędników miejskich. Dzwony miejskie ogłaszały zwycięztwa polskie, publicznie w kościołach Bogu za nie dziękowano, jak naprz. za zwycięztwo pod Chocimem. Natomiast po klęskach, naprz. po klęsce cecorskiej, rada Torunia nakazywała posty ogólne i nabożeństwa błagalne.

Z początku ludność niemiecka Torunia żyła z polską w zgodzie przykładnej, która trwała dopóki do miasta nie wkradł się luteranizm. Odtąd zaczęły się swary, które za Augusta II. doprowadziły do straszliwej tragedyi, ta zaś ostatecznie Rzeczpospolitę do zguby popchnęła. Zygmunt I., widząc, że luteranie w Polsce wielu znajdują zwolenników, wydał zakaz wprowadzania ksiąg kacerskich do Polski. Aliści zakaz nie skutkował. Gdy w roku 1521 legat papiezki, Ferrari, rozkazał w Toruniu, na placu przed kościołem św. Jana, spalić księgi kacerskie, a popiersie Lutra w ogień rzucił, mieszczanie na obecnych dostojników jęli ciskać kamieniami, wreszcie naparli ich tak gwałtownie, że biskup z proboszczem schronić się musieli na plebanię. W r. 1557 Toruń wraz z Gdańskiem i Elblągiem uzyskał pozwolenie na swobodne wyznawanie protestantyzmu, przyczem

kościoły Maryi Panny i Ś-go Jakuba przeszły w ręce protestantów, a u Ś-go Jana odprawiało się aż do r. 1596 nabożeństwo i katolickie i luterańskie; katolikom zostały tylko kościoły Dominikanów i Ś-go Wawrzyńca. Z kościoła Ś-go Jana luteranie ustąpić musieli na rozkaz Zygmunta III, a kościoły Maryi Panny i Ś-go Jakuba wróciły w posiadanie katolików w r. 1724.

Luterańska rada toruńska postępowała z polską ludnością katolicką z oburzającą bezwzględnością: w r. 1586 zakazała udzielać nauk dzieciom polskim w szkołach prywatnych; w r. 1608 wydała polecenie, żeby w cechu krawieckim więcej nad 6 majstrów polskich nie było, a w r. 1616 ograniczyła tę liczbę do 5; od r. 1611 kapelusznikom zabroniła przyjmować na naukę chłopców pochodzenia polskiego. W 1645 Władysław IV zwołał do Torunia radę, celem pojednania protestantów z katolikami, ale usiłowania rady spełzły na niczem, podejmowanie zaś obradujących kosztowało miasto 50,000 złp. W czasie najazdu Szwedów ich generał Marderfeld, z namowy luteran, wypędził z Torunia Jezuitów, a szkołę ich zamknął, również wypędził Dominikanów, a kościół i klasztor Benedyktynek zniszczył. W r. 1688 luteranie przeszkodzili procesyi Bożego Ciała; a biskupa chełmińskiego, Kazimierza Opalińskiego, zbrojnie, w domu jego własnym napadli; wytoczono im o to sprawę przed sąd królewski, który skazał miasto na różne kary, między innemi musiało wybudować wieżę na kościele chełmińskim i miedzią ją pokryć.

Przechodzimy do tragedyi z 1724, nad którą wypada dłużej nieco się zatrzymać, z powodu jej niezmiernie doniosłych skutków.

Dnia 16 lipca 1724 r., w święto Matki Boskiej skaplerznej, po cmentarzu kościoła Ś-go Jakuba, murem obwiedzionym, posuwała się procesya z N. Sakramentem, z której z poza muru, przypatrywali się protestanci z nakrytemi głowami. Stanisław Lisiecki, uczeń kolegium Jezuitów, zauważywszy to, przypadł do nich, żądając, by zdjęli kapelusze, gdy zaś się wzbraniali uczynić to, sam im nakrycia z głowy pozrzucał. Stąd wywiązała się bójka, która skończyła się na tem, że Lisieckiego straż miejska na odwach zaprowadziła, gdzie go przez całą noc zatrzymano. Koledzy Lisieckiego udali się nazajutrz do burgrabi Getharda Thomasa gromadnie (n. b. Thomas z burmistrzem ówczesnym, Roesnerem, koty darli), żądając zwolnienia towarzysza.

— Kto go uwięził, niech wypuści — odparł Thomas.

Młodzież udała się do Roesnera, a gdy ten dał odpowiedź odmowną, poszli do mieszczanina, na którego żądanie Lisiecki został uwięziony, prosząc go, by się wstawił o jego uwolnienie i zapewniając, że Lisiecki na wezwanie władzy miejskiej stawi się. Mieszczanin przywódcę studentów aresztować kazał. Oburzeni studenci bez wiedzy rektora, pochwycili studenta szkoły luterskiej, Nagórnego, i w kolegium go zamknęli. Wieść o tem z błyskawiczną szybkością rozeszła się po mieście: mimo spóźnionej pory, tłumy pospólstwa luterskiego zebrały się przed kolegium Jezuitów, domagając się wydania Nagórnego; z tem również żądaniem przysłał Roesner do rektora sekretarza swego, Wedemejera. Rektor odparł, iż to uczyni, lecz po uwolnieniu jego dwóch uczni. Wtedy Wedemejer gwałtem uprowadził Nagornego, a tłum rzucił się na kolegium, wyłamał drzwi i okna, poniszczył wszystko, wdarł się do kaplicy, pozdzierał z ołtarzy krzyże, obrazy Matki Boskiej i Ś-go Franciszka Ksawerego; w końcu rozbestwiona tłuszcza z podruzgotanych sprzętów, obrazów i naczyń kościelnych ułożyła przed kolegium wielki stos, który zapalono... Milicya miejska przybyła po niewczasie... Wiadomość o tych gwałtach rozeszła się piorunem po całej Polsce, budząc niesłychane oburzenie, z powodu zwłaszcza spalenia obrazu Matki Boskiej. Jezuici zaskarżyli przed sąd asesorski nie tłum protestancki, lecz radę miejską, że nie starała się uśmierzyć zbiegowiska, chociaż ono trwało kilka godzin. Śledztwo ciągnęło się do połowy listopada, wreszcie 16-tego miesiąca zapadł wyrok następujący:

Burmistrz Roesner i wice-prezydent Zernecke mają być ścięci, jeżeli Jezuici i 6 świadków świeckich zaprzysięgną, że obydwaj ci dygnitarze postępowaniem swojem dali powód do rozruchów i zawczasu ich nie przytłumili.

Również ścięci być mają 9 mieszczan, napastników na kolegium i bluźnierców, 4 zaś z nich ma być przed odjęciem głowy, ucięte po jednej ręce, a ciała ich po egzekucyi mają być spalone.

Burgrabia Thomas i rajca Zimmermann mają być zrzuceni i więzieniem karani.

40 osób skazano na więzienie, grzywny lub chłostę.

Miasto ma Jezuitom wynagrodzić szkodę, kościół N. Maryi Panny z przyległem gimnazyum oddać katolikom.

Odtąd w zarządzie miejskim połowa członków ma być katolików.

Wyrok w całej rozciągłości ma być wykonany w przeciągu 2 tygodni.

Wyrok istotnie bardzo surowy, ale z pewnością został by o wiele złagodzony, gdyby nie stały na przeszkodzie plany Augusta II. Król ten marzył o tronie dziedzicznym; zamachu mógł jedynie dokonać przy pomocy mocarstw. Nieludzkie postępowanie Polski z protestantami miało oburzyć na nią Europę, dowieść, że król w Polsce jest bezsilny; mocarstwa tedy, aby zapobiedz na przyszłość uciskowi protestantów, miały pomódz Augustowi do osiągnięcia władzy absolutnej i tronu dziedzicznego. Tak planował August dlatego zaraz wyrok potwierdził, a nawet wykonanie jego o dni 8 przyspieszył. Jakoż dn. 7 grudnia dekret wykonano — jeden tylko Zernecke został ułaskawiony. Mocarstwa skorzystały z tej fatalnej sprawy w samej rzeczy, ale August celu nie osięgnął. W r. 1793 Toruń przeszedł pod panowanie pruskie, od r. 1807 do 1815 należał do Ks. Warszawskiego, poczem znów został wcielony do Prus.

Kmicic..

(Dokończenie nastąpi.)

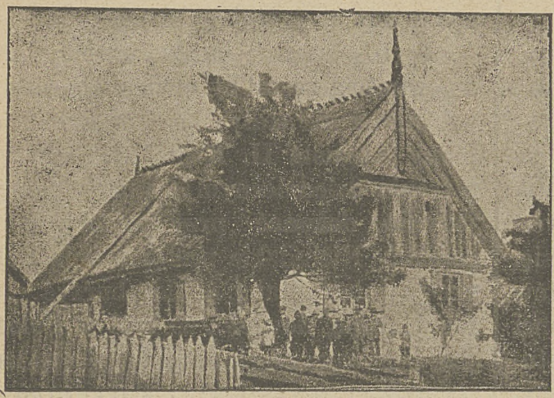
Listy z nad jezior mazurskich.

IV.

(Wieś i chata mazurska. — Przemysł domowy. — Słówko o humorze, upodobaniach i zdolnościach Mazurów. — Ich muzykalność. — Piosnki ludowe.)

Z Wielbarku — schludnej mieściny, która z swym okazałym kościołem, porządnemi domostwami i przestronnemi ulicami miłe pozostawia wrażenie — puściłem się na rowerze ku granicy pięknym, bitym gościńcem, celem zbliżenia się do kilku światłych Mazurów, których adresy zawdzięczałem uprzejmości b. kandydata poselskiego „partyi mazurskiej,“ p. Z. C. Lewandowskiego z Poznania.

Towarzyszył mi krajobraz smutny. Pola nieurodzajne, piaszczyste, poprzecinane kępami drzew i skrawkami lasów królewskich. Jakaś pustka wieje od tej ziemi, na wszystkiem zda się rozpościerać smętek i ogromna cisza. Napróżno oko szuka domostwa, jaśniejszych barw i widoku człowieka. Dopiero w odległości około półtorej mili natrafiam dużą wieś gospodarską, ale nie mniej jak wszystko ponurą w tonie. Chaty bowiem zbudowane z sosnowego drzewa i pokryte omszałą słomą, ciągnące się w długim szeregu,



Chata mazurska.

podobne do stada ciemnych ptaków, wypoczywających przy drodze.

Wśród tego steku chat czerwieni się szkółka wiejska w sąsiedztwie karczmy, ważną odgrywającej rolę w życiu wsi i Mazurów, a dalej znowu pola, bory i pustka.

— Jak daleko do Opaleńca? — pytam wyrostka idącego szosą.

— Dwa nile — brzmi odpowiedź.

Wreszcie ukazują się dwie wieże kościołów, grupy tynkowanych domów bielą się w oddali. Zbliżam się do celu podróży — drewnianej słabo podmurowanej chaty, stojącej na „winiarze'', na odosobnieniu. Opodal stajnia, służąca zarazem za oborę, chlew i śpichlerzyk, dalej wysoka stodoła zbita z desek na tle świerków.

Często część domu mieszkalnego zajmuje stajnia lub obora a ludzie mieszczą się w dwóch izbach o wspólnym, dużym piecu. U zamożniejszych gospodarzy z ciasnego przedsionka wiodą drzwi na prawo i na lewo do izb, nizkich, wybrukowanych cegłami i dość ciemnych. W rogu głównej izby mieści się kachlany piec, w innej zaś wysokie, z góry przysłonięte łoże, które rozsuwa się na noc, podwaja niejako. Pomiędzy sprzętami, sprowadzanemi z miasteczek i robionemi szablonowo, spotyka się raz po raz tylko przedmioty wykonane oryginalnie przez wiejskich cieślów „z chojowego drzewa'' i niekiedy dość ciekawe w rysunku. W tym bowiem kierunku Mazurzy zdają się posiadać zamiłowanie i zdolności. Pastuch na polu chętnie struga wiatraczki lub koguciki a krzesła, które widywałem, były symetrycznie, dokładnie i gustownie rzeźbione. Zresztą nie napotkałem na ślad przemysłu domowego. Staroświecki kołowrotek, nazywany kółkiem, wychodzi z mody w chałupie mazurskiej, wala się zwykle porzucony na ubuczu.

Nie można powiedzieć, aby w mieszkaniach panowała czystość co tłomaczy się biedą, wyzierającą ze wszystkiego. Sufity okopcone, ściany wytarte, na których wpadają w oko jaskrawe obrazy świętych katolickich, oprawiane w ramki świadectwa konfirmacyi oraz ilustracye z żurnalów i t. p.

Rozglądałem się po izbie rozmawiając z gospodynią, która przyjęła mnie w nieobecności męża. Gospodarz zatrudniony w polu miał niebawem powrócić do domu. Tymczasem pani Augusta, nadziewając grzyby na sznurki do suszenia na zimę, bawiła mnie rozmową, która od pierwszej chwili była bardzo ożywioną.

Kobiety mazurskie bowiem lubią mówić dużo, wypytywać o wszystko a nadewszystko prowadzić żartobliwe gawędy. Są poprostu niewyczerpane w żartach i humor rzadko je opuszcza. Dowcipkują między sobą przy każdej sposobności i płatają figle chłopom, którzy zwłaszcza gdy podchmieleni, nie mniej są pohopni do „rozrywek''. W karczmie rozlegają się często skoczne piosnki, tony skrzypiec, klarnetu i basów.

Zamiłowanie do śpiewu zdradza Mazur wszędzie, przy robocie, w wesołej godzinie i w kościele. Każdy umie różne piosnki niemniej jak liczne hymny z psalterza i pięknie, uroczyście rozbrzmiewa w zborze chór ludu wiejskiego. Gdy kongregacya zaintonuje: „O Jezu zbaw mą duszę" lub „Pola już białe" odnosi się wrażenie jakby śpiewał doskonale wyszkolony chór i nic podobnego nie usłyszy się w naszych wiejskich kościółkach. Muzykalny a przytem obdarzony fantazyą Mazur pozwala sobie podobno nieraz zmieniać melodyę tak, że organista ma niemały kłopot.



Wnętrze chaty mazurskiej.

O muzykalności Mazurów przekonałem się niebawem.

Gospodyni — nizka, dość wątła blondyna o delikatnej cerze twarzy i ładnych, żywych oczach — poczęstowała mnie „taską'' kawy, chlebem i czemś podobnem do miodu. Gdy sądziła, iż jestem przekonany że to miód, zdradziła mi, że tak nie jest i kazała zgadywać, coby to było. Okazało się wreszcie, że był to t. z. krot czyli syrop. Ogromnie ją cieszyło, że dałem się podejść, bo wogóle lud mazurski znajduje wielką przyjemność we wywodzeniu ludzi w pole.

Nadszedł gospodarz z dwoma ładnymi chłopaczkami i parobkiem i wszyscy obsiedliśmy porządnie zastawiony stół. Gdy po długiej rozmowie, zapanowała cisza, poprosiłem pomocnicę gospodyni, aby zaśpiewała jaką piosnkę mazurską. Lecz dziewczyna onieśmielona nie dała z siebie wydobyć ani słowa ani tonu a gdy gospodyni wraz ze mną poczęła nalegać, chwyciła ,,krapę'' i pobiegła kopać kartofle.

Natomiast pani Augusta nie dała się długo prosić. Zaśpiewała:

Z tamtej strony wody
Stoi zołnierz młody
Radabym go miała
Kiebym go dostała

A potem:

Puk, puk, ptasek do okienka
Niech tam otwozy panienka
Bo tu tera strasna zima
Nigdzie ziarenka nima.
Ptasynie roztwozyły
Napaśli ją, nakarmiły
A ptasyna wdzięcna za to
Śpiewała im całe lato.

Ładną piosnkę odśpiewała gospodyni na nutę mazurka miłym sopranem a potem gospodarz, podniecony memi oklaskami, począł się popisywać:

Chałupecka nizka
Ojciec matke sciska
I my tak bendziemy
Jak się pozeniemy

Oczy mu się przytem śmiały. Odetchnął, zatlił fajeczkę, wydobył butelkę i, częstując mnie wódką, zanucił jeszcze jowialnie:

Idzie Bartek z karcmy
Kłunica za pasem
I śpiewa sobie tymcasem.
A kto mu sie w droge nawinie
Ten od jego kłonicy zginie.

Roman Rola.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z pieśni jesiennych.

I.

Łzy cię dławią? Serce boli?
W myślach burza, w piersi harpje!
Duch upada i hart woli,
A wnętrzności głód ci szarpie?

II.

Milcz! Stłum w sobie swe męczarnie!
Walcz sam z losem, póki stanie
Sił! Przed światem nie płacz marnie!
Łzy?... Świat wzgardą płaci za nie!

III.

Co?..: Znużenie czujesz w sobie?
Gaśniesz; chylisz się powoli?.,,
To nic! Prędzej legniesz w grobie!
Śmierć z udręczeń cię wyzwoli.

IV.

Prześpisz porę dżdżów, zamieci
Śnieżnej, mroźnej; wróci wiosna..,
I na cmentarz gość przyleci - -
Słowik! Gruchnie pieśń miłosna!

V.

Dźwięki srebrne cudnej pieśni
Twoją pieśń przypomną tobie!
Tak się wieczność błogo prześni
W skromnym twoim cichym grobie!

VI.

Pieśni! Tułasz się, niebogo,
Jak sierota, w gwarze świata!
Naprzód nie pchniesz dziś nikogo!
Dziś — twym głosem świat pomiata!

VII.

Świat z poezyi zerwał czoła
Róże wonne i lilije!
„Pieśń — gra słowa! Bred!“ Tłum woła —
„Pieśnią ludzkość nie utyje!“

VIII.

O, na świecie, sługo pieśni!
Smutno tobie! Ciężko tobie!
„Tyle szczęścia, co się prześni...“
Ukojenie też twych — w grobie...

Klemens Podwysocki

Sensacyjny proces

Proces przeciwko hr. Węsiersko-Kwileckiej z Wróblewa o rzekome podsunięcie dziecka zaciekawił cały świat. Dnia 26 z. m. zasiedli na ławie oskarzonych, przed sądem kryminalnym w Berlinie: 1. Izabella hr. Węsiersko-Kwilecka, ur. 6 marca 1846 w Poznaniu, znajduje się w więzieniu śledcz. od



Oskarżeni w procesie o podsunięcie dziecka.

22 stycznia r. b. 2. Zbygniew hr. Węsierski-Kwilecki urodzony 23 kwietnia 1839, w więzieniu śledczem od 5 sierpnia r. b. 3. Akuszerka Katarzyna Osowska, urodz. 1857 r., od 12 marca rb. w więzieniu śledczem. 4. Służąca Józefa Knoska, ur. 1825. 5. Służąca Bronisława Chwialkowska, urodz. 1860 r. (patrz rycinę.)

Obrońcami oskarzonych są: radzca

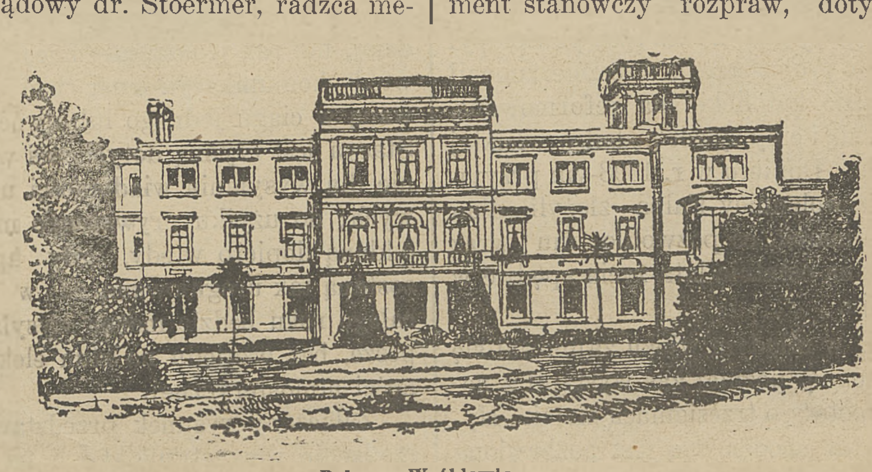


Siedmioletni Józef Adolf Stanisław hr. Węsierski-Kwilecki.

sprawiedliwości Wronker, adwokat Chodziesner, radzca sprawiedliwości Sikorski, radz. sprawiedliwości dr. Lewiński z Poznania, adwokat Rychłowski z Poznania, adwokat dr. Eger i adwokat Zborowski. Obecni na sali są rzeczoznawcy: prof. dr. Dührssen, lekarz sądowy dr. Stoermer, radzca medycynalny dr. Leppmann, radzca zdrowia dr. Rosiński z Wronek, fizyk powiatowy dr. Panieński z Poznania, prof. Aleksander Brückner, profesor dr. Freund. Czynność tłómaczów sprawują radzca rejencyjny Brand i radzca kancelaryjny Gross, znawcą pisma jest radzca obrachunkowy Junge. Przewodniczący oświadczył, że proces prawdopodobnie potrwa dłużej niż przez jednę zwykłą sesyą 14-dniową. Posiedzenia odbywają się codziennie z wyjątkiem soboty i to od godz. 9 i pół do 3 po południ.

Na proces stawiło się blisko 200 świadków. Między nimi ogólną uwagę zwraca na siebie mały Józef Adolf Stanislaw, (patrz rycinę), który zdaje się, wcale nie przeczuwa tego, że jest główną osobą tego sądowego dramatu. Chłopczyk jest wytwornie ubrany od stóp do głowy cały w białą odzież. Prowadzi go jedna *z córek oskarzonej hr. Izabelli.*

Po zebraniu wszystkiego, co zeznali, dotąd tak oskarżeni i współoskarżeni, jak świadkowie, należy przyjść do przekonania, że udowodnienie winy podsądnych, udowodnienie faktyczne, istotne, nie postąpiło dotąd ani o krok naprzód. Przeciwnie, mniemać należy, iż główni instygatorowie skandalicznego procesu, podjęli się, co najmniej, niebezpiecznego dzieła. Udowodnienie rzeczy takich jak obecna jest przedewszystkiem bardzo trudne. Moment stanowczy rozpraw, dotyczący



Pałac w Wróblewie.

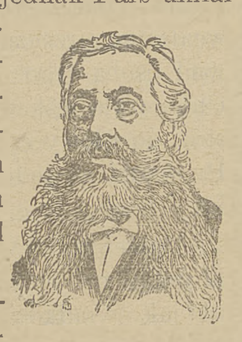
faktu głównego: podsunięcia obcego dziecka za swoje i wszystkich okoliczności, towarzyszyć temu mających — dotąd w rozprawach sądowych nie nadszedł. Te okoliczności przemawiają raczej na korzyść oskarżonych, aniżeli na podtrzymanie aktu oskarżenia. Takiem przynajmniej jest wrażenie ogólne dotychczasowych rozpraw.

Co sądzimy o praniu publicznem takich brudów naszej wysokiej arystokracyi przed sądami pruskiemi, o tem piszemy w dziale politycznym w artykule p. t. „Proces Kwileckich“

—ski.

Rudolf Falb.

Głośnym było nazwisko Falba, dzięki kalendarzowi, jaki corocznie wydawał, i w którym zamieszczał na cały rok prognostyki pogody. „Falb odgadł,“ „Falb się pomylił.“ Może w owych zapowiedziach było coś niecoś prawdy, zwłaszcza, iż przepowiednie Falba często przypominały owe z kalendarzy stuletnich: „miejscami deszcz, miejscami pogoda“ co się zawsze sprawdzić musi. A jednak Falb umiał zająć ludzi, dzięki oryginalnemu i nadzwyczaj interesującemu sposobowi pisania. W tych dniach rozstał się z życiem w Schönebergu pod Berlinem.



Przewidywał wszystko, lecz nie przewidział, iż podczas niezapowiedzianego w swym kalendarzu deszczu przeziębi się, dostanie zapalenia płuc ,i po tygodniowej chorobie umrze. Tak się jednak stało.

Rudolf Falb urodził się w r. 1838 w Styryi, jako syn młynarza z Obdach. Dzięki wrodzonym zdolnościom dostał się do klasztoru, gdzie wyświęcony został na księdza. Przez czas pewien był później proboszczem, wreszcie zmienił wyznanie katolickie na reformowane, ożenił się i cały żywot pędził w wielkiej biedzie. Dopiero w r. 1898-ym przyjaciele i zwolennicy Falba złożyli dlań 75,000 marek, co pozwoliło mu wraz z rodziną ostatnie lata życia spędzić w spokoju.

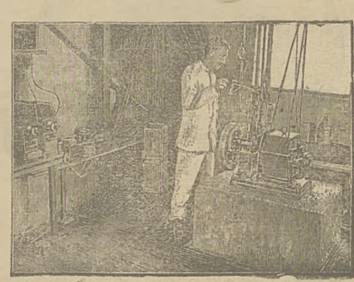
Już w młodym wieku zajmował się astronomią, później zaś wystąpił z nową hypotezą o trzęsieniach ziemi. Hypoteza ta, chociaż nie jest pozbawioną pewnego prawdopodobieństwa, w świecie naukowym jednak dotychczas przyjąć się nie mogła.

Z.

Kronika naukowa.

Treść: Telegraf bez drutów na Martynice. Depeszą dookoła ziemi w ciągu 9 minut. Tarcza elektryczna jako cel. Najnowsza lampa elektryczna systemu Nernsta.

Niedawno został zaprowadzony telegraf bez drutów pomiędzy Martyniką a Gwadelupą. Instalacya ta jest ciekawą z tego względu, że daje pojęcie, z jaką szybkością da się zaprowadzić komunikacya pomiędzy stacyami, odległemi na znaczne przestrzenie. Od dnia, w którym polecono zaprowadzenie tej komunikacyi, zaczęła być czynna stacya na Martynice po upływie 71 dni, a w Gwadelupie — 85 dni, wliczony jest w to czas, potrzebny na przewóz maszyn, urządzenie stacyi, nieprzewidziane zwłoki w instalacyi itd. Aparaty są ulepszonego systemu



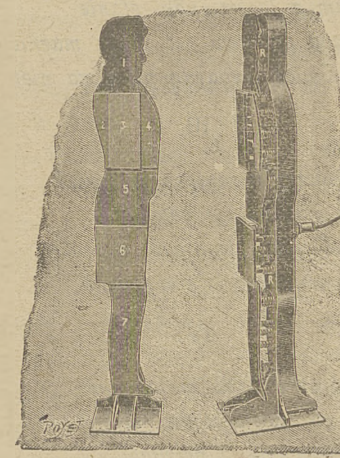
Rys. 1. Wnętrze stacyi na Martynice.

Ferriego i działają bardzo dobrze. Zauważono tylko, że silne deszcze przeszkadzają przesyłaniu depesz, co się tłómaczy przewodnictwem strug wodnych, które odprowadzają energię elektryczną do ziemi. Przy pięknej pogodzie aparaty funkcyonują bez zarzutu, pomimo znacznej odległości pomiędzy stacyami, wynoszącej około 185 kilometrów. Zaburzenia elektryczne w atmosferze stanowią również dużą przeszkodę przy telegrafowaniu, zdarza się to wszakże niezbyt często, rzadziej, niż raz jeden na miesiąc, lecz wtedy komunikacya musi być przerwaną w ciągu jednego lub dwóch dni. Stacya jest czynną dotychczas wyłącznie dla wysyłania wiadomości urzędowych; do użytku prywatnego ma być oddaną dopiero wtedy, gdy aparaty zostaną tak uregulowane, że w ciągu całego roku będzie można wysyłać depesze, bez względu na stan elektryczności atmosferycznej.

Załączony rysunek przedstawia urządzenie wewnętrzne stacyi na Martynice (Rys. 1).

Dzięki sieciom telegraficznym oraz stacyom telegrafu bez drutów, depesza jest w stanie okrążyć ziemię w ciągu bardzo krótkiego czasu.

Redekcya pisma „*New Jork Herald*“ wysłała do siebie adresowaną depeszę, która obiegała dookoła ziemię i powróciła do miejsca, skąd została wysłaną, po upływie 14 minut. Prezydent Stanów Zjednoczonych, Roosevelt, wysłał depeszę, która okrążyła

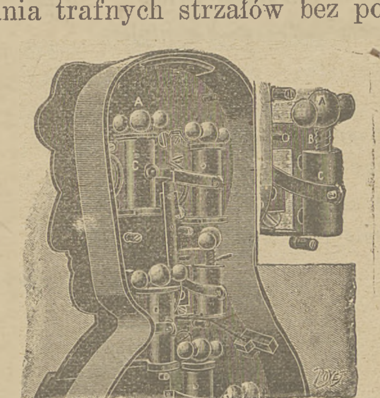


Rys. 2. Tarcz elektryczna.

ziemię ze wschodu na zachód w ciągu 12 minut; druga depesza była wysłana w kierunku przeciwnym, t. j. z zachodu na wschód i przyszła po upływie 9 minut, okrążywszy kulę ziemską i przeszedlszy przez 19 stacyi telegraficznych.

Sto lat temu listy były wysłane przez pocztę z szybkością 6 kilometrów na godzinę, co na owe czasy było uważane za rzecz niezwykłą.

Do jakiego stopnia wynalazcy starają się stosować wszędzie elektryczność, świadczy najnowszy wynalazek zastępujący tarczę przy strzelaniu do celu. Przyrząd ten daje możność notowania trafnych strzałów bez pocho-



Rys. 3. Wnętrze tarczy elektrycznej.

dzenia do celu, co jest zwykle połączone z pewnem niebezpieczeństwem; został on niedawno wypróbowany na polach Elizejskich w Paryżu.

Nowo wynaleziona tarcza przedstawia sylwetkę człowieka, który stanowi cel. Do strzelającego jest zwróconych 7 płyt metalowych, odpowiadających różnym częściom ciała ludzkiego, jak to jest wskazane na lewej części rysun-

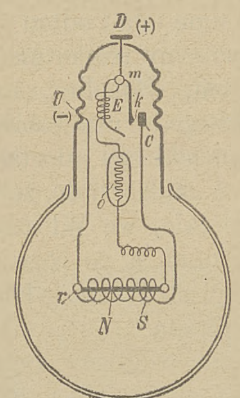
ku 2-go; część prawą tego rysunku uwidocznia mechanizm przyrządu. Pod każdą z płyt znajduje się 4 lub 5 sprężyn, które w razie uderzenia wprawiają w ruch kulki, znajdujące się wewnątrz przyrządu, a ruch ten sygnalizuje przy pomocy prądu elektrycznego, że strzelający trafił do celu.

Część wewnętrznego urządzenia tego mechanizmu widzimy na rysunku 3-cim. Widzimy tam cylindry C, na których spoczywają kule metalowe, przymocowane do śrub, z któremi mogą się razem obracać. Gdy kula trafi w tarczę, sprężyny, o których wspominaliśmy, wprawiają w ruch wirowy kule metalowe, a te znów, podnosząc się ku górze, dzięki śrubom, zamykają obwód elektryczny; prąd przepływa od tarczy do numeratora, znajdującego się tuż przy strzelającym, i posiadającego takiż sam kształt, jak i tarcza. Dzięki takiemu urządzeniu niema potrzeby podchodzić do tarczy i kontrolować, czy strzał był trafny, czy też nie, należy tylko spojrzeć na numerator, stojący obok, a ten wskaże miejsce, w które trafiła kula. Mechanizm ten jst szczególnie przydatny przy strzałach na bardzo znaczne odległości: zapewnia on zupełne bezpieczeństwo, nie wymaga żadnej obsługi, gdyż dostateczną jest rzeczą przycisnąć guzik numeratora, ażeby mechanizm był znów zdatny do użytku.

O wiele ważniejszym wynalazkiem pod względem zastosowania praktycznego jest modyfikacya niedawno wprowadzonej do użytku lampy Nernsta. Lampy te posiadają o wiele większą wydajność światła w porównaniu ze zwykłemi lampkami żarowemi, prócz tego osiąga się znaczna oszczędność w energii elektrycznej. Z tych względów na wystawie powszechnej w Paryżu (r. 1900) lampy Nernsta zwróciły na siebie uwagę, wszakże rozpowszechnianiu stało to na przeszkodzie, że zapalanie uskuteczniało się przy pomocy zapałki lub lampki spirytusowej, co nie odpowiadało wymaganiom dzisiejszej techniki. Ponieważ konstrukcya lampy Nernsta jest mało znana szerszemu ogółowi, pożyteczną, być może, rzeczą będzie opis jej, szczególniej wobec zwiększającego się w Poznaniu zaprowadzenia oświetlenia elektrycznego.

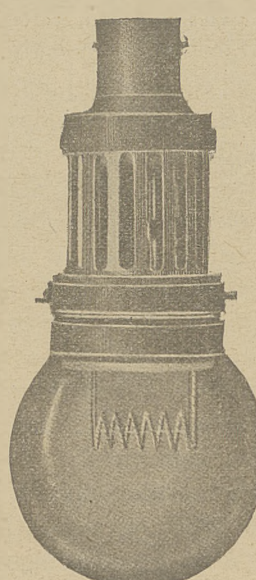
Znana powszechnie lampa żarowa, dająca światło najbardziej zbliżone do światła słonecznego, ulega bardzo niewielu przekształceniom od czasu Edisona. Tymczasem lampy żarowe są mało ekonomiczne, gdyż zaledwie 3 do 4°/₀ energii elektrycznej przeistaczają w światło; zbyt znaczna więc ilość energii przeistacza się w ciepło, które przy oświetleniu nie jest bynajmniej pożądane. Lampa Nernsta przeistacza około 10°/₀ energii elektrycznej w światło, co jest już znacznym postępem technicznym.

Wiadomo z fizyki, że im wyższa jest temperatura rozżarzonego ciała, tem więcej energii przeistacza się w światło. W lampkach Edisona temperatura nitki węglowej dochodzi do 1200° C.; przy wyższej temperaturze nitka przepala



Rys. 4. Budowa lampy Nernsta.

się i lampka staje się niezdatna do użytku. Ponieważ niemożliwą jest rzeczą podwyższenie temperatury, zatem i wydajność światła musi pozostać bez zmiany; innemi słowy, ulepszenie lampki Edisona przy jej obecnej konstrukcyi jest rzeczą niemożliwą. Prof. uniwersytetu w Getyndze, Nernst, użył, zamiast nitki węglowej, tlenków metali w postaci pręcików, które mogą być ogrzane do temperatury 2400° C. Wyższość tych pręcików nad węglowemi polega na tem, że nie mogą one ulegać spaleniu w powietrzu, jak węgiel,



Rys. 5. Lampa Nernsta.

nie wymagają więc umieszczania ich w próżni, co ma miejsce w zwykłych lampkach żarowych. Tlenki metalów zmniejszają ilość energii elektrycznej, natomiast posiadają tę osobliwość, że przy temperaturze do 900 stopni są złymi przewodnikami elektryczności; należało więc ogrzać pręciki powyżej wzmiankowanej temperatury i wtedy dopiero prąd elektryczny przechodzi przez lampę. Ogrzewanie to, jak zaznaczyliśmy wyżej, dokonywało się przy pomocy zapałki lub lampki spirytusowej. Automatyczne zapalenie się lampy Nernsta jest obecnie możliwe, dzięki nader dowcipnemu urządzeniu, które poniżej podajemy.

Rys 4 przedstawia schematycznie budowę lampy. Prąd, idący od dynamomaszyny, przechodzi z D do *m*, skąd rozchodzić się może w dwóch kierunkach: przez elektromagnes E, opornik O, pręcik N oraz przewodnik *r U* do drugiego bieguna, lub też przechodzić może przez kotwicę *k*, przewodnik C, platynowy drucik S, spiralnie zwinięty dookoła pręcika, do bieguna ujemnego *U*. Z samego początku, gdy pręcik N jest zimny, prąd przezeń przepływać nie może, natomiast przepływa przez drugie rozgałęzienie, t. j. przez kotwicę *k*, i drucik platynowy, który rozżarza się i ogrzewa pręcik N. Ogrzany powyżej 900 stopni pręcik staje się dobrym przewodnikiem elektryczności, prąd zaczyna przechodzić przez pierwsze rozgałęzienie, przyczem elektromagnes E przyciąga kotwicę *k* i tym sposobem zostaje przerwany prąd, który był pomocny przy rozgrzaniu.

Lampy Nernsta są wyrabiane o sile od 15 do 170 świec; oszczędność wynosi 30—50°/₀ w porównaniu z lampami Edisona. Obliczono np., że przy sile światła 32 świec 600 godzin palenia lampy Nernsta kosztuje około 30 mrk. (wliczając w to już koszt zamiany lampek), gdy w tych samych warunkach koszt lampki żarowej wynosi przeszło 50 mrk., czyli otrzymuje się około 40°/₀ oszczędności na lampach Nernsta.

G. Tołwiński.

Nasze illustracye.

Jan Wasilewski. — „Na grzyby.“ Jan Wasilewski jest malarzem współczesnym. Przebywa stale w Warszawie. Jako twórca pejzażów oraz scen na tle życia wiejskiego cieszy się znaczną wziętością.

F. Defregger. — „Ostatnia rezerwa.“ — Znakomity malarz niemiecki, rodem z Tyrolu (ur. 1835), samouk następnie kształcił się u Pilotiego i dosięgnął najwyższych szczytów sztuki. Jego obrazy historyczne na tle życia tyrolskiego cieszą się sławą wszechświatową. „Ostatnia rezerwa“ przedstawia scenę, gdy chłopi tyrolscy zbierają się, jako ochotnicy wojskowi, by ratować zagrożony przez Bonapartego tron Habsburgów.

Z.

Gdy cisza jest w błękicie...

Gdy cisza jest w błękicie
I las osnuty w ciszę,
Ściszone serca bicie
Pierś moją w takt kołysze.

Przejrzysta chmurka biała
Topnieje mi nad skronią,
A głąb oddycha cała
Żywiczną, duszną wonią.

Gęstwina ledwie wzdycha
W śnie cichym zatopiona —
Więc serce moje ścicha
I, senne słodko — kona...

* * *

. . . .
Gdy cisza jest w błękicie
I las osnuty w ciszę,
Lękliwe serca bicie
W mej piersi sennej słyszę.

Myśl nagle staje trwożna
U mrocznej tej rubieży,
Zkąd dalej iść nie można,
Gdzie bezmiar wielki leży.

I pierś z ostatnią zwrotką
Pytaniem cichem dyszę:
Czy będzie iść tak słodko
W tę nieskończoną ciszę?...

Bożydar.

Wspomnienia z niewoli moskiewskiej
roku 1863-go,
przez **B. M.**

(Ciąg dalszy.)

IV.

Odjazd mojej matki. — Poznanie Bornemissy i Sokolicza. — Przygody tego ostatniego. — Piękna nowina. — Plan do ucieczki. — Wymarsz do Radomia. —Monseu.—Rozłączenie z Bornemissą.

Miesiąc mijał od przybycia matki mojej do Kielc. Pomimo ciągle robionych jej nadziei, nie wierzyła biedaczka w dobry skutek próśb swoich. Adjutant jenerała, Polak, nazwiskiem Malinowski, dużo sprawie naszej szkodzący, na usilne prośby rzekł matce, żeby była spokojną, bo nic jej synowi złego się nie stanie, „chyba że go rozstrzelają.“ To też pomimo pocieszających upewnień z innych stron, wyjechała biedna z rozpaczą, poleciwszy mnie opiece pań tamtejszych, które tak szczerze i z takiem poświęceniem wypełniały włożone na siebie obowiązki, że naprawdę matka nicby więcej dla mnie zrobić nie mogła.

We dwa tygodnie po odjeździe matki, przy końcu września, przyprowadzono nam dwóch kolegów, świeżo zabranych z oddziału Otta. Byli to także dawniejsi oficerowie z wojska ....kiego. Pierwszy z nich Barnemissa, bardzo miłego ułożenia mężczyzna, kochający Węgry i Polskę na równi, zapalony wielbiciel wolności, tak od razu zaprzyjaźnił się z nami, jak gdybyśmy się znali długie lata i odtąd on, Monseu i ja stanowiliśmy trójkę nierozłączoną. Drugi, Kroat, Sokolicz nazwiskiem, awanturniczego usposobienia, nie wiem czy uciekł czy dostał dymisję z wojska ....kiego, dość, że wstąpił do legji węgierskiej we Włoszech, bił się z Sanfedystami, a po rozwiązaniu tej legji przybył do Polski, gdzie otrzymał stopień kapitana.

Z tym nie mogliśmy nigdy ściślejszej zawrzeć przyjaźni i byliśmy, jak to mówią: dobrze, ale z daleka.

Nauczeni własnem doświadczeniem, jak niebezpiecznie bawić się w zbytnią szczerość przy śledztwie moskiewskiem, objaśniliśmy nowym tym naszym kolegom, jak się powinni tłumaczyć. Oficerów powstania, którym można było dowieść, że mieli jakiekolwiek dowództwo, albo którzy się sami nieroztropnie do tego przyznali, sądy polowo-wojenne skazywały zwykle na śmierć, prostym zaś powstańcom dawano wyroki większe lub mniejsze, w miarę tego, jak jeden lub drugi umiał złagodzić swoją winę w obec przemocy despotyzmu. Bornemissa, dość dobrze władający językiem polskim, zeznał, że bawił w Krakowie jako akademik, i teroryzmem rządu narodowego zmuszony został do udziału w powstaniu. Sokolicz zaś opowiedział Moskalom cały szereg dziwnych przygód, w skutek których najniewinniej w świecie, ni ztąd ni zowąd dostał się do obozu partyzanckiego. Sąd niebardzo wierzył tym zeznaniom, ale że nie było żadnych dowodów, któremiby je zbić można, skazano w końcu Bornemissę na 6 lat do robót katorżnych. Kolega jego Sokolicz nie czekał na wyrok, udało mu się bowiem wydobyć z rąk moskiewskich, a to w następujący sposób:

Jenerał Czengiery niektórym z nas udzielił był pozwolenia kąpania się w łazienkach, dokąd udawaliśmy się zwykle pod strażą. Na podstawie tego nadzwyczajnego uwzględnienia naszych wygód, Sokolicz udał się do jenerała z prośbą, by jemu i Bornemissie pozwolił pójść do fotografa. Jenerał przystał na to tem chętniej, że władze moskiewskie lubią mieć fotografie więźniów zostających w śledztwie, gdyż te mogą posłużyć do zebrania dowodów po za miejscem więzienia. Korzystając z tej okoliczności, Sokolicz zaprzyjaźnił się z dyżurnym oficerem, Moskalem, niejakim panem S. Ten ostatni uchodził słusznie lub niesłusznie za człowieka podstępnego, schlebiającego więźniom i poufalącego się z nimi, żeby się od nich dowiedzieć czego, coby mógł donieść sądowi wojennemu. Zapewne też w celu ujęcia sobie Sokolicza, zaproponował mu, że sam bez straży zaprowadzi jego i Bornemissę do fotografa, byle mu dali słowo honoru, że nie uciekną. Idąc do fotografa, który mieszkał w rynku, koledzy nasi i pan S. spotkali drugiego oficera pana C.,który się do nich przyłączył. Po drodze znalazła się i cukiernia, całe więc towarzystwo wstąpiło do niej, a po dobrem śniadaniu więźniowie dali się fotografować. Oficerowie dobrze już podochoceni, dali się im zaprowadzić do traktyjerni na obiad, któren się nie mógł obejść bez wina. Sokolicz, przyzwyczajony do tego napoju, udawał jednak pijanego, a widząc oficerów w humorze więcej różowym, począł im się wynurzać z najserdeczniejszych nibyto uczuć swoich. Opowiadał im, że jako Kroat i wyznawca prawosławnej wiary, poczuwa się do większego pobratymstwa z nimi niż z Polakami, że nie wie, jakim sposobem znalazł się w jednym szeregu z tymi ostatnimi, że pochodzi właściwie z dawnego, książęcego rodu, mającego niegdyś wielkie znaczenie w południowej Słowiańszczyźnie. Moskale zachwycali się tem wszystkiem, ściskali go, całowali, słowem, unosili się nad nim. Nakoniec około czwartej popołudniu, rozczulone to towarzystwo zatoczyło się do kancelaryi więziennej, gdzie S. oddał więźniów nowemu dyżurnemu. Pan C. zupełnie już nieprzytomny, nie mógł się z nimi tak prędko rozstać, i wziąwszy jednego pod jedno ramię, drugiego pod drugie, odprowadził ich aż do kaźni. Zabawiwszy u nas kwadrans, odszedł do pokoju dyżurnego ,Sokolicz wyszedł za nim. Straże nie stawiały mu przeszkód, bo przed chwilą widziały go idącego z oficerem. W kancelaryi zastał dyżurnego i pana C. Oświadczył im, że jest pijany, i że myśli się przespać w pomieszkaniu dozorcy więzień. Oficerowie nie widzieli w tem nic złego i puścili go samego do tego pomieszkania, które nie było wcale strzeżone przez sołdatów, i miało okno zakratowane wprawdzie, ale wychodzące na ogród prywatny, przylegający do bitego gościńca. Sokolicz widząc się uwolnionym na chwilę od wszelkiego nadzoru, rozpatrzył się w miejscowości i w tej chwili zapewne przyszła mu myśl ucieczki. Kraty w oknie nie by-

ły gęste, jednakowoż przekonał się, że w sukniach przez nie się nie zmieści. Rozebrał się tedy, złożył suknie na oknie i właśnie miał przełazić, gdy pan C. wszedł do pokoju.

— A pan co robisz? — zapytał go zdziwiony.

— Gorąco mi się zrobiło po winie i chciałbym się trochę ochłodzić, bo tu wiatr przewiewa.

Pan C. roześmiał się nad tym oryginalnym pomysłem i wyszedł. Sokolicz przesunął się przez kraty, zabrał swoją odzież,wskoczył do ogrodu, ubrał się i uciekł. W godzinę dopiero Moskale spostrzegli, że go nie ma i pojechał zagranicę. Dalsze losy jego nie są mi wiadome.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

W TAKĄ NOC.

(Smutna opowieść.)

Widywano ich zawsze razem: Zośkę i Janka; ona miała lat dziewięć, a on siedemnaście, zielone brzegi Wisły, rzeczne sitowia i błękitny skrawek nieba oglądały ich co dnia, kiedy trzymając się za ręce, szli na wysepkę, porosłą tatarakiem i błękitnem kwieciem niezabudek.

Tam pod wierzbą płaczącą siadali przy sobie; chłopak plótł koszyki, z gałęzi wierzbowej wiercił fujarki, dziewczyna zaś siedziała, milcząc, ze wzrokiem utkwionym w pas rzeczny, nad którym fruwały jaskółki i blado-żółte cytrynki. Myślą była daleko, ponad wierzchołek wierzby płaczącej, ponad wieżę kościoła — hen u samych chmur, u samego nieba! Bardzo chora i smutna, była milczącą i spragnioną ciszy, szumu fal i poszeptu lasu. Lubiła dużo myśleć, myśleć o niczem, błądząc tęskną duszą chorego dziecka w obłokach, w złotych klombach, tęczowych kwiatach — nieba... I tak ją kołysała pieśń wieczorna, pieśń odpoczynku i przedziwnej tęsknoty, kołysała smutną Zośkę, zamykała jej duże niebieskie oczy...

A kiedy się budziła z głową na ramieniu Janka, zdawało jej się, że — nie spała, jeno, że ją białe anioły niosły na skrzydłach w nieznaną a cudną krainę.

Bardzo chora, często płakała, a łzy jej padały na murawę, mieszając się z kroplami rosy, migocąc w słońcu — srebrne łzy dziecka!

Żaliła się temu niebu jasnemu i tym głuchym wiatrom, że Bóg ją stworzył chorą, bardzo chorą, na smutek i niedolę Janka. A on był dla niej taki dobry, nosił ją na rękach, na złotych włosach składał tak słodkie całunki, nazywał ją swoją małą siostrą, że nie miała słów na podziękę. A zresztą Zośka nie umiała pięknie — ba! nawet wcale mówić, ale zato dusza jej, niezmiernie wrażliwa, cała z srebrnych nici utkana, tyle czuła, tyle myślała, tyle mówiła! Płynęły dni, płynęły księżycowe noce, a oni razem, głowa przy głowie, ciepłem serc ukołysani, trwali przy sobie, i dobrze im było z tą rzeką i z temi drzewami. Chłopak nigdy jej nie wy-



F. Defregger. Ostatnia rezerwa.

częli za nim szukać, ale daremnie. Dowiedzieli się tylko, że przechodząc przez rogatkę, prosił Kozaka o ogień, i poczęstował go za to cygarem. Baliśmy się bardzo, żeby go nie schwytano, bo w takim razie stryczek dla niego już był przygotowany. Tymczasem szczęście widocznie mu sprzyjało. Dowiedziałem się później, że trzeciego dnia po swojej ucieczce, złączył się z oddziałem Chmieleńskiego, w którym dłuższy czas zostawał. Później, poznawszy się w przemarszu przez dobra jakiejś obywatelki, z córką tejże, piękną i posażną panną, wziął dymisyę u rządu narodowego, ożenił się i wy-

mawiał, że była podrzutkiem, że ją znalazł w koszyku, płynącą po rzece; on nawet nie sądził, by o tem wiedziała. Ale raz — kiedy Janek poszedł do miasta sprzedać koszyki i fujarki, — a ona została w ich smutnej lepiance, duże złe dzieci powiedziały jej prawdę.

Mówiły ze śmiechem, raniły młode serce, a ona potem uciekła na kępę do lasu, do boru i długo płakała.

A smutne dziecko koiły stare drzewa i wiatr, i szum rzeki.

— Sieroto-biedoto — mówiły — nie płacz, maleńka. Nie płacz, mała Zosieńko, my ciebie miłujem, kwiaty i zioła i rzeczne sitowia! Nie płacz... widzisz, Zosieńka, tam niebo wysoko, bądź dobra, kochaj Janka, a pójdziesz, w obłoki!

Przestała płakać, bo kiedy tak sam Bóg mówi do dobrych dzieci, to trzeba być grzeczną, a za to — ach, za to, kiedyś w ciszy nocnej, biały anioł zapuka do lepianki, przyjdzie do tapczana, wyjmie duszę dziecka i uniesie do gwiazd. Oj, gwiazdy, gwiazdy...

Musić tam je srebrna ziemia, wszystko srebrne i kwiaty, i zioła ,i ludzie...

A czemu tak długo nie przychodzi anioł?

Dziecko chce anioła!

Aż przyszedł.

Była wtedy noc, cicha noc. W dole mgły, w górze mgły, same mgły. W tem hen — hen z posowy ciemnej oderwała się gwiazda. Na tej to gwieździe przybył z nieba anioł. Szedł cicho, szedł bez szmeru, ledwie dotykając ciernie ziemskie, szedł ze śmiechem, patrząc na domy wysokie, aż nagle bardzo, bardzo cicho zapłakał. Bo oto stanął przed lepianką Zośki. A ona już go tak czekała!

I zapukał.

Zobaczyła wtedy Zośka, jak przez sen, że Janek wstał z tapczana, poszedł i otworzył.

A potem słyszała rozmowę .

— Tu mieszka Zosia — sierota?

A Janek odpowiedział.

— Tu mieszka, panie.

Więc anioł:

— Dajcie mi jej duszę, włożę ją na skrzydła, uniosę do nieba. Tam ją ubiorę w białą sukienkę i będzie siedzieć między anioły!

— Weźmiesz mi ją, panie? pytał smutnie Janek, a cóż ja pocznę bez Zośki. Ona jest moją siostrzyczką. Nie będę mógł żyć bez niej, pleść wianków, i wiercić wierzbowych fujarek. Kiedy pójdę do miasta i usłyszę dzwon w dużym kościele, rozpłaczę się, zatęsknię i umrę...

Więc anioł:

— Zostawię ci, Janku, twoją siostrzyczkę, kochaj ją tak, jak ona ciebie, myśl o niej, tak, jak ona o tobie . Ona ciebie bardzo kocha, Janku, kocha twoją twarz, twoje ręce, twoje koszyki, i twoje wierzbowe smutne, przesmutne fujarki...

Z temi słowy odszedł anioł, a Zośka załkała, głośno załkała, że poszedł, że ją zostawił na ziemi, że znów ją będą złe dzieci męczyły...

— Płaczesz? spytał Janek i tulił małą Zośkę...

— Płaczę, Janku, odpowiedziała. Widzisz... widzisz...

Ale nie mogła dalej mówić, bo łzy gradem popłynęły z jej oczu i już nic nie widziała, nic, krom swoich łez.

Była wtedy wiosna w pełni, przez szczeliny lepianki wpadały do wnętrza zapachy kwiatów, więc oparłszy głowę na ramionach opiekuna ,mówiła:

— Bzy... bzy... bzy...

Więcej mu nie mogła powiedzieć, ale on też nie pytał. W bieli księżycowego światła, tulił chore dziecko, całował jej łzy, pieścił chude ręce i mówił;

— Spij... śpij...

I zasnęła na jego ramieniu, zasnęła, lecz nie nadługo, bo zaraz się zbudziła i jęła cichym głosem mówić:

— Janku... czemu ja taka chora, taka bardzo jestem chora... Ani kwiaty, ani nawet słońce... tylko wciąż jestem chora... Czy ty mnie bardzo Janku kochasz?

— Bardzo ciebie kocham, mówił chłopak, nie znałem ni ojca ni matki, nie miałem siostry, tylko mam ciebie jedną — jedyną...

— A ja, mój Janku... to ciebie bardzo, bardzo, bardzo... Przymknęła oczy, a przytuliła się do niego z całej siły.

I patrzała w blade światło księżyca, w długą srebrną nić, co wpadała przez szczelinę.

I po tej nici biegła jej smutna myśl do samego nieba, do samych gwiazd, do samego Boga...

I rozwarłszy szeroko źrenice mówiła:

— Janku, już jestem coraz więcej słaba... tylko... ciebie tak bardzo kocham... i dla tego anioł... Czy ty widziałeś anioła?

— Widziałem w kościele na obrazku...

-- Ej, to nie taki, tamten nie żywy, a ten taki... taki... jak ty... Ej, Janku, weź ty swoją najpiękniejszą fujarkę i zagraj, a może go zobaczysz...

Usłuchał chore dziecko, wyjął fujarkę, zagrał piosenkę, dumkę smętną, łzawą dumkę — tęsknicę.

Grał długo i znów przyszedł anioł, maleńką do snu ukołysał... Duże białe skrzydła położył na twarzy i szepnął:

— Śpij, Zosiu...

I zasnęła...

A potem słabła codzień więcej... Tymczasem nad rzeką działy się smutne, smutne rzeczy. Ludzie spodziewali się wylewu Wisły, radzono, radzono, a twarze były ponure. I z ziół i kwiatów i z lotu ptaków, wróżyli starzy ludzie wylew, straszny wylew. Janek wnet począł piasek, ziemię, cegły znosić przed próg swojej lepianki i sypać wał, który ich miał przed wylewem uchronić. Pracował od rana do nocy. Dziwili się ludziska jego sile, ale śmiali po cichu, bo czyż taki wał mógł wstrzymać napór dzikiej fali?

On pracował.

Zośka chciała mu pomagać, a on jej nie wzbraniał, więc zbierając ostatek sił, nosiła cegłę, glinę, chróst... Raz go spytała:

— Janku, to tyś mnie znalazł w koszyku na wodzie?...

A on się uśmiechnął i powiedział:

— Na wodzie płynęłaś w koszyku, ja się rzucił do „Wachy" i cię wyłowił rybeńkę....

Chodziła potem z tą myślą i uśmiechała się do siebie.

A tymczasem straszna noc się zbliżyła. Wszyscy spali, nie spodziewając się złego, wszyscy... krom Zośki, która patrząc w szczelinę lepianki, czekała anioła. Wtem ogromna fala uderzyła o brzeg, zatrzęsła się lepianka, Zośka spojrzała się na Janka. On spał...

Wtem woda jęła napływać przez szczeliny i szpary. Janek spał...

Kocim ruchem skradła się do niego i zbierając wszystkie siły, jęła go ściągać z tapczana. Na ziemi stał ogromny kosz; w ten kosz to strąciła chłopca, aż on nagle krzyknął, spojrzał na lepiankę i zawołał:

— Zośka!

Ale ona pogrążała się w wodzie, bo oto pękły ściany lepianki, a fala jęła napływać, spokojnie, cicho, po królewsku... Kosz się podniósł w górę i popłynął z Jankiem.

Na niebie wszystkie gwiazdy świeciły....

Mieczysław Guranowski.

Po raz drugi!

Znów ból jakiś — pustka, tęsknota,
I w siły własne straszna niewiara,
Znów mnie przygniata, jak wszechświat
/stara,
Odwieczna nędza żywota, —
Przewodnie gwiazdy bledną i gasną
I niemoc duszę ogarnia całą, —
Jedno pragnienie tylko zostało:
Roztrzaskać czaszkę swą własną!

Gdyby choć na to starczyły siły,

Gdybym posłusznym mógł być swej woli
Mógł przejść w krainę, gdzie nic nie boli,
Schronić się w cieniach mogiły!..

Lecz nie! Zostanę z pogardą w duszy
Dla ludzi, siebie, całego świata,
Konając zwolna przez całe lata
Żaden mnie piorun nie skruszy!
Jak pies co gryzie własną obrożę,
Która mu życie zamienia w piekło, —
Szarpie ją, wyjąc, paszczęką wściekłą,
Lecz jej rozszarpać nie może,

Tak ja żyć będę, bez gwiazd, bez słońca,
Chociaż mnie nędza istnienia gniecie,
Żyć, żyć, bez końca na nędznym świecie
I cierpieć męki bez końca!

. . . .

Było mi gorzko, pusto i ciemno,
Życie, ciężarem mi się zdawało,
Który przygniatał duszę mą całą,
Rozpacz tuż biegła przedemną. —

Lecz nie zginąłem w jej czarnej toni,
Los mnie obdarzył stróżem aniołem,
Co ciemnowłosy, z promiennem czołem
W chwilach zwątpienia mnie — broni.

Jedno spojrzenie, jasne gorące
I jeden dłoni uścisk serdeczny, —
Znów wre w mej piersi ogień przedwieczny
Znów widzę przed sobą słońce!

Pielgrzym.

Towarzystwo Wykładów Ludowych im. Ad. Mickiewicza.

Na półrocze zimowe zapowiedzieli wykłady:

I. Z historyi i geografii, z literatury i sztuki: Bern. Chrzanowski, Dr. Tad. Dembiński, Jarosław Drwęski, Dr. Paweł Gantkowski, Dr. Adam Karwowski. Zenon Lewandowski, Dr. Fel. Niegolewski, Dr. Cel Rydlewski, Kazim. Ruciński, Łucyan Osten, Maciej Wierzbiński.

II. Z nauk społecznych: Dr. Kazim. Hącia, Dr. Pernaczyński, Dr. Cel. Rydlewski, Idzi Switała, Dr. J. N. Schuman.

III. Z nauk przyrodniczych: Dr. Ant. Chłapowski, Dr. Bol. Krysiewicz, Zenon Lewandowski.

Wykłady rozpoczną się 8 listopada b. r. o godz. 5-tej, po poł., na starej sali Bazarowej i odbywać się będą w każdą Niedzielę aż do Wielkanocy. Wstęp bezpłatny.

Poznań, 31 Października 1903.

Za wydział:
Bern. Chrzanowski.

nego i tam zakłada warsztat.

„Widzisz jak pracuje niezmordowanie statek i sternik, aby zawinąć do przystani, gdzie znajdą odpoczynek. Taką przystanią dla ciebie kraj rodzinny i własny warsztat. Pracuj więc cierpliwie, niezmordowanie, aby dobić się do celu. Choćby przeszkody rozmaite stawały ci w poprzek, zwalcz je i wytrwale dąż do przystani — do Ojczyzny, do Polski najdroższej.“

Słowa powyższe wyjęte z powieści świadczą najlepiej o pięknej jej treści.

Początek powieści p. t.

„Szczęście tylko w Ojczyźnie“.

otrzyma każdy nowo przybyły abonent gratis, jeżeli nam nadeśle na dowód kwit pocztowy abonamentowy.

Ze względu na rozpoczęcie druku powyższej powieści zachęcamy Czytelników i Przyjaciół naszych do najliczniejszego zapisywania sobie na poczcie i w naszej ekspedycyi „Czytelni Polskiej.“

Wiadomości.

— **Młody, dzielny i wierny** nasz współpracownik, p. *Jan Kwiatkowski* znajdujący się już od końca sierpnia r. z. za kratami więziennemi, otrzymał kilkotygodniowy urlop, celem podreperowania długą kaźnią więzienną nadwątlonych sił.

Pan Jan Kwiatkowski stanowi w księgach ofiar „Pracy“ pamiętną i bolesną z dni cesarskich w Poznaniu kartę: poznańska izba karna skazała go w dniu 16 października r. z. za artykuł, wiersz i obraz Jana Styki „Polonia“, zamieszczone w numerze 35 „Pracy“ r. z., który wyszedł w przededniu przybycia pary cesarskiej do grodu Przemysława, *na rok i kwartał więzienia.* Numer ten „Pracy“ nie doszedł do rąk Czytelników naszych. Zaraz bowiem, jak wiadomo, w dniu wydania zabrała go policya w dwóch nakładach, a jednocześnie prokuratorya nakazała aresztować p. Kwiatkowskiego. Zanim więc jeszcze zapadł wyrok, już dzielny, wierny i energiczny nasz współpracownik przecierpiał blizko 8 tygodni w więzieniu śledczem, czego mu przy wymiarze kary nie policzono.

Niedługo po zapadłym wyroku wywieziono pana Kwiatkowskiego z więzienia poznańskiego do więzienia centralnego we Wronkach, w którem dotychczas karę odsiaduje.

Pan Kwiatkowski jeszcze ma do odsiedzenia blisko trzy miesiące, które po ukończeniu urlopu i pokrzepieniu się na siłach przy pomocy Najwyższego przecierpi i wówczas będziemy znowu mieli w naszem gronie bardzo miłego nam Towarzysza.

— **Zebranie przedwyborcze** dla powiatu rawickiego odbędzie się w Miejskiej Górce dnia 8-go listopada o godz. 2 i pół po południu na sali p. S. Łukowskiego; na takowe uprzejmie zaprasza

Komitet.

— **Biuro wskazywania posad** dla pomocników i uczniów handlowych zostało otworzone na dniu dzisiejszym w łonie Towarzystwa naszego. Dla dogodności interesentów, ustnych objaśnień udzielać oraz zgłoszenia przyjmować będzie p. Mroczkiewicz, skład cygar, ulica Rycerska, róg ulicy Berlińskiej, natomiast wszelkie listy prosimy adresować: Towarzystwo Młodzieży Kupieckiej Poznań — Posen.

Poszukujący posady pomocnik, chcący z pośrednictwa biura korzystać musi być członkiem, ze strony pracodawców przyjmuje się zgłoszenia bez względu czy są członkami Towarzystwa lub nie Miejsca dla uczni poszukuje biuro bezpłatnie.

Zgłoszenia ze strony poszukującego posady niecziłonka biuro załatwia, jeżeli tenże zgłosi się na członka Towarzystwa i złoży z góry wpisowe 1 markę, oraz półroczną składkę, miejscowy 6 m., zamiejscowy 3 m.

Zgłaszający się o posadę pomocnik winien zażądać od Towarzystwa formularz i takowy po dokładnem wypełnieniu zwrócić i dołączyć doń cztery własnoręcznie napisane zgłoszenia (oferty) wraz z odpisami świadectw, mianowicie dwa w języku polskim i dwa w niemieckim.

Zgłoszenie poszukującego posady, przestaje być ważnem po trzech miesiącach, jeżeli przed upływem tego czasu piśmiennie nie wniesie o przedłużenie.

O wolnych miejscach wskazanych poszukującemu posady przez biuro winien tenże zachować najściślejszą dyskrecyę.

Członków, wogóle osoby przychylne naszemu Towarzystwu prosimy, skoro dojdzie ich wiadomość o jakichkolwiek wolnych miejscach, aby nas natychmiast łaskawie informowali.

Poznań 26 października 1903.

Zarząd Towarzystwa Młodzieży Kupieckiej.

W. Jerzykiewicz, kurator.

H. Kollat, prezes. *W. Kontrowicz*, sekretarz.

— **Koncert „Lutni“** z przyczyn od nas niezależnych dopiero po Nowym Roku odbyć się może. — Natomiast, ażeby Szanownych członków zachęcić do dalszej wytrwałej pracy i rozniecić życie towarzyskie, a przez to i rozproszyć niejedne smutki, o które mianowicie w naszem społeczeństwie, przesiąkłem jadem niezgody i zazdrości, nietrudno, zapraszamy wszystkich Szanownych członków „Lutni“ oraz życzliwych „Lutni“ przyjaciół tak z Poznania jak i z prowincyi jak najserdeczniej na skromny „wieczorek na Białej sali Bazarowej“ w sobotę d. 7-go listopada o godz. 9-ej wiecz. — W czasie pauz wykona chór „Lutni“ kilka pięknych pieśni, które na koncert przeznaczone były.

Miłej oddajemy się nadziei, że Szanowna Publiczność jak najliczniej do ochoczej zabawy się stawi, tym więcej, że czysty dochód przeznacza się na zakupienie harmonium.

Wstępne wynosi dla pań 1 m., dla panów 3 m., panowie członkowie płacą tylko 2 m. — Kolacya wspólna à la carte. — Stroje dla pań skromne wieczorkowe, dla panów frak.

Drukowanych osobnych zaproszeń nie wysełamy.

Zarząd.

— **Portrety.** W handlu księgarskim i składach materyałów piśmiennych ukazało się wydanie 6-ciu medalionowych portretów: Mickiewicza, Słowackiego, Chopina, Moniuszki, Sienkiewicza i Paderewskiego. Są to podobizny wykonane na papierze kolorowane, naśladujące portrety na porcelanie i tak utrwalone, iż kurz można zmywać zwilżoną ściereczką. Nizka cena tych portretów, 50 fen., powinna je spopularyzować, w miarę powodzenia bowiem tej próby wydane będą nowe serye podobizn poetów, artystów itp. Główny skład na Niemcy mają pp. Rzepecki i Święcicki w Poznaniu Piekary 7, do których panowie księgarze i właściciele składów galanteryjnych zechcą się zgłaszać w razie zapotrzebowania.

— **Odezwa.** Wobec niesłychanego ucisku, jakiego doznaje cała sprawa polska w Opolskiem, gdzie nie jest nam możliwem ani teatru, ani zebrań odbywać z powodu tego, że właściciele sal mają zagrożone ze strony policyi, aby Polakom sali nie dawali, nie pozostaje nam nic innego, jak pomyśleć o budowie *własnego domu*, gdyż inaczej polska sprawa na kresach jest wskazaną na upadek.

Do tej chwili zebranych jest z drobnych groszy ludu około 700 marek, lecz potrzebne są tysiące. Wszystkich rodaków, którym sprawa narodowa nie jest obojętną, upraszamy choćby i o najmniejsze składki, które przyjmuje: *„Gazeta Opolska“ w Opolu* na G. Śląsku (Oppeln Oberschlesien.)

Opole 28. 10. 03.

Z polecenia

Stanisław Spychalski,

kasyer Tow. polsko-kat. w Opolu.

Br. Koraszewski,

redaktor „Gazety Opolskiej.“

Wszystkie życzliwe nam pisma upraszamy o powtórzenie tej odezwy.

— **Gniezno.** Dnia 20 z. m. pobłogosławił ksiądz proboszcz Piotrowicz w kościele farnym związek małżeński pomiędzy p. Bolesławem Urbańskim, powszechnie znanym i szanowanym obywatelem naszego grodu, a p. Maryą Olszewską również z Gniezna. Do młodej pary przemówił gorącemi słowy od ołtarza ks. proboszcz, dając im wskazówki na drogę ich przyszłego pożycia. Veni Creator odśpiewali członkowie tutejszego Tow. gimnastycznego „Sokół“ z współudziałem oddziału żeńskiego Sokoła pod batutą dyrektora chóru katedralnego p. Ignacego Gorzelniaskiego, chcąc przez to okazać wdzięczność swemu byłemu długoletniemu naczelnikowi a teraźniejszemu wiceprezesowi,

za trudy i prace podjęte około rozwoju Towarzystwa. Jako upominek wręczyło Towarzystwo kochanemu druhowi wspaniały obraz, doskonała reprodukcya znanego „Rejtana“ Matejki, chcąc przez to chociaż w małej części spłacić dług wobec niego zaciągnięty. Oddział zaś żeńskiego Sokoła jako swemu naczelnikowi ofiarował wspaniały zegar. Telegramów dla młodej pary z blizka i z daleka nadeszło osiemdziesiąt. - Niech Bóg Wszechmocny otacza swą opieką młodą parę w przyszłem jej pożyciu małżeńskiem!

Sokolica ze sokołem
Więc przed nimi zawsze czołem!

Zmarli:

† Ś. p. *Kazimierz Siednicki*, długoletni członek Towarzystwa gimnastycznego „Sokół“ w Gnieźnie oraz Towarzystwa kupców i młodzieży kupieckiej w Gnieźnie, dnia 28-go z. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 44.

† Ś. p. *Teofil Zaremba*, dnia 26-go z. m. w Ostrowie, przeżywszy lat 67. Pogrzeb odbył się dnia 30-go z. m. w Sulmierzycach.

† Ś. p. *Julian Weber*. Pogrzeb odbył się dnia 29-go z. m. w Brudzewie.

† Ś. p. *Marya Krzyżańska* dnia 1-go b. m. w Poznaniu.

Wiadomości literackie.

— **Nowe mody.** Z dniem 1-go października r. b. rozpoczęło wydawnictwo „Nowe Mody“ piętnasty rocznik swego istnienia. Od pierwszej też chwili swego istnienia stanęły na czele wszystkich polskich czasopism poświęconych modom damskim i na tem naczelnem stanowisku aż dotąd utrzymać się zdołały. Ktokolwiek zapoznał się z tem wydawnictwem, przyzna z pewnością, że „Nowe mody“ śmiało mogą iść w zawody z wszystkiemi pismami zagranicznemi, a zwłaszcza z pismami niemieckiemi, które niestety ciągle jeszcze zalewają nasz kraj, jak gdyby paniom naszym milszy był język niemiecki, niż polski. Tak jednak nie jest. Tylko zręczna reklama wydawców obcych z jednej a przyzwyczajenie naszych pań z drugiej strony, mogą wytłómaczyć to dziwne zjawisko, że kraj nasz do niedawna konsumował olbrzymią ilość pism obcych, a nadzwyczaj mało pism polskich. Od niedawna stosunek ten się zmienił, lecz nie tak jak być powinno. — Jeszcze we wielu domach znaleźć można pruskie „Bazary“ i „Modenwelty“, a nie widzi się pism polskich, dlatego wszystkim tym damom warto polecić pismo „Nowe mody“, zawierające w każdym numerze ogromny materyał, odnoszący się do toalety i garderoby damskiej. Czy to chodzi o suknie i kapelusze, czy o bieliznę i roboty ręczne, zawsze znaleźć tam można dla uboższych i dla bogatszych piękne i gustowne wzory według ostatniej mody światowej i do tego tablicę krojów, bezpłatny dodatek powieściowy, wskazówki z dziedziny mód damskich i t. d. Ażeby przekonać Szanowne Panie, że pismo to znacznie wyżej stoi od pism zagranicznych, przesyła się każdemu próbny zeszyt „Nowych mód.“ Skład główny na całe Niemcy w księgarni *Chrzanowskiego i Kucnera w Poznaniu — cena kwartalnie 2,50 mk., z przesyłką 3,20 mk. na prowincyi.*

— **Robaki w ciele ludzkiem** (glisty, rupie, tasiemce, trychiny, robaki górników itp.) ich powstawanie i usuwanie. 24 rycin. - Cena 50 fen. — 60 hal. — 25 kop. Nakładem wyd. „Przewodnika Zdrowia“ (Czarnowski, Berlin, Karlstr. 32).

Pasożyty stanowią wielką plagę, trapiącą ludzi młodych i starych. W ostatnim czasie nabrała rozgłosu szczególnie choroba t. zw. górnicza, powstająca wskutek częstego pojawiania się niebezpiecznego robaka, nazwanego „tęgoryjcem dwunastonicowym,“ u robotników zatrudnionych w podziemiach, w kopalniach, ceglarniach, tunelach i t. p. — W powyższej książce Czytelnik znajdzie nie tylko dokładny opis wewnętrznych pasożytów człowieka, ze znakomitemi rycinami, ale zarazem łatwe do wykonania przepisy i środki dla usunięcia takich darmozjadów. W rozdziale o tasiemcach podane są na str. 50 i 51 także składniki tajemniczych środków, zachwalanych tak często przez reklamy jako „najpewniejsze.“ — Książeczka ta zasługuje na jak najszersze rozpowszechnienie.

RUCH W TOWARZYSTWACH.

— **Poznań.** Polski Związek Zawodowy (Filia Górczyn) urządza w niedzielę dnia 8-go listopada b. r. na sali p. Hoffmanna (przystanek koleji elektr.) przedstawienie amatorskie. Odegraną będzie sztuka ludowa w 3 aktach (5 odsłonach) ze śpiewami i tańcami p. t. „Stary Piechur i syn jego huzar.“ Po przedstawieniu zabawa z tańcami. Początek przedstawienia o godzinie 7 i pół wieczorem. Na powyższą zabawę uprzejmie zaprasza

Zarząd.

— **Grodzisk.** Cześć Pieśni Polskiej! Towarzystwo śpiewu polskiego w Grodzisku urządza dnia 8 listopada koncert instrumentalno - wokalny. Program bardzo urozmaicony, na który Szanowną Publiczność, chcącą posłuchać pieśni ojczystej, jak najuprzejmiej zaprasza

Zarząd.

— **Wrocław.** Towarzystwo pol. kat. we Wrocławiu urządza zabawę z tańcami dnia 8 listopada r. b. o godz. 6 wieczorem na sali św. Wincentego (Seminargasse). O liczny udział tak członków jak gości uprasza uprzejmie

Zarząd.

Od Redakcyi.

Panu J. Wasz. w Sł. — Wiersz nadesłany p. t. „Zapis duszy“, jest tak błędnie napisany, że zamieścić go nie możemy mimo najszczerszej chęci.

Panu S. w K. — Pisze się „Marja“ i „Marya“, „małemi kamieniami“ i „małymi kamieniami.“ Obie formy pisowni są dobre.

Autorom wierszy i nowelek nadesłanych w ostatnim czasie. — Wszystkie nadesłane wiersze i nowelki mogłyby przeważnie nadawać się do druku, ale niestety nie mamy na nie miejsca, przynajmniej na razie. Z utworów już wyznaczonych do druku posiadamy znaczne zapasy.

— ***W niedzielę d. 8 listopada*** b. r. po południu o godz. 2 odbędzie się w Janówcu na sa p. Walkowiaka ***wiec przedwyborczy***, na który uprzejmie zaprasza

Komitet.

— ***Manuskryptów niezwracamy, nie przyjmujemy za nie żadnej i to żadnej gwarancyi, choćby były przysłane w liście zastrzeżonym (rekomendowanym). Kto więc do naszej Redakcyi przysyła manuskrypty, traci wszelkie prawo do zwrotu manuskryptów, a dalej w razie zagubienia manuskryptów traci też prawo do wszelkiego zanie odszkodowania, i to choćby interesent takowe sobie wyraźnie zastrzegł.***

Redakcya i wydawnictwo „PRACY.“

Kwity pocztowe na „Pracę“ na miesiące listopad i grudzień, oraz na „Czytelnię“ na bieżący kwartał zamieszczone są na osobnej karcie pod okładką

Zaległe numery musi dostarczyć każda poczta na żądanie.

Numery okazowe wysyłamy na żądanie bezpłatnie.

Dział kobiecy.



Kobieta w podróży.

Im większy ruch na kolejach żelaznych, tem wyższym stopień cywilizacyi; im większy udział kobiet w tym ruchu, tem głębszą i ogólniejszą kultura danego kraju.

Nasze prababki — mówię o warstwach średnich, mieszczańskich i drobnoszlacheckich — znały „podróże" — z wizytą w sąsiedztwo. Dopiero córy drugiej półkuli nauczyły je, jak rozkoszować się pięknościami przyrody, jak badać obce krainy i ich mieszkańców, jak dążyć do poznania świata.

I odtąd coraz częściej widzimy kobiety, towarzyszące w podróży swoim mężom, ojcom i braciom. Wreszcie kobieta-turystka staje się zjawiskiem powszedniem: w wagonach kolejowych i na parostatkach ukazują się osobne przedziały dla kobiet.

Dziś nastąpił przewrot zupełny, bo w sezonie podróży kobiety-turystki stanowią większość wśród podróżujących. To też coraz więcej upowszechnia się pogląd, że osobne przedziały dla kobiet są zbyteczne. Były one potrzebne, dopóki nie istniały wagony z bocznemi gankami i odosobnionemi gabinetami do uporządkowania garderoby, obmycia i t. d. Obecnie wagony takie są bezpieczniejsze dla samotnych kobiet, aniżeli osobne przedziały. Jakkolwiek rabusiów żeńskich spotykamy mniej często niż opryszków męzkich, bądź co bądź zdarzało się już często, że takie „damy" zachloroformowywały a następnie okradały towarzyszki podróży. Takie wypadki są bodaj niemożliwe w wagonach z gankami bocznemi, w których o pomoc mężką nie trudno. Zresztą coraz mniej kobiet wsiada do przedziałów kobiecych, chętniej już podróżują nadobne przedstawicielki płci pięknej w przedziałach dla „niepalących."

W interesie kobiet podróżujących niezbędną też jest reforma zwyczajów i „obyczajów" hotelowych. Hotele, w których służba, albo co gorzej, sam gospodarz spoglądają z pod oka, z jakiemś ubliżającem niedowierzaniem na kobiety podróżujące bez towarzystwa mezkiego — nie zasługują w naszych czasach na nazwę hoteli: są to raczej jakieś przedpotopowe oberże, a odnośni właściciele, lokaje i portyerzy — barbarzyńcami. To też ludzie cywilizowani powinni stronić od takich zakładów, tak, jak wszędzie każdy dobrze wychowany człowiek omija zdaleka cukiernie lub jadłodajnie, w których dostrzeże gburowate a choćby tylko dwuznaczne zachowanie się garsonów wobec samotnych kobiet. Jakież bowiem prawo ma służba (lub właściciel) hotelowa do powątpiewania o moralnych kwalifikacyach pojedyńczych gości żeńskich? Czyż samotny gość męzki daje jakąbądź rękojmię w tym względzie? Nie! A zatem gość żeński zasługuje na tę samą uprzejmość, na te same względy, co gość męzki. Czas byłby wielki, żeby rozumni gospodarze hotelów ucywilizowali w tym kierunku swą służbę.

I jeszcze jeden stawić należy postulat do zarządów hotelowych: oto raz na zawsze w interesie podróżujących kobiet zerwać należy z systemem pokoi połączonych z sobą drzwiami. Tylko pewna liczba „numerów," przeznaczonych dla rodzin, posiadać powinna drzwi komunikacyjne, zresztą zaś każdy „numer" odgraniczony być winien od drugiego ścianą murowaną, nie drzwiami. Wymaga tego zarówno wzgląd na przyzwoitość i na bezpieczeństwo.

Kto zna i rozumie kształcący wpływ podróży, ten idąc za zdrowym postępem domagać się będzie wszędzie ułatwień dla kobiet-turystek. A ułatwienia te zasadzają się na prostem zrównaniu praw płci obojga w podróży. Im szersze będą poglądy naszych kobiet, tem lepiej dla przyszłych pokoleń.

R-ski.

Dar piękności.

O niezwykłej urodzie kobiet opiewają stare kroniki. Między innemi świadectwami tego rodzaju, w ratuszu w Tuluzie znajduje się dotychczas rozporządzenie z roku 1555, którem przecudna Paula de Vignier wzywana jest, aby raz na tydzień ukazywała się w oknach swojego mieszkania, a to, aby obywatele miasta mogli nasycić oczy niebiańską jej urodą. Piękności tej przyglądano się tak natarczywie na ulicach, że postanowiła nie wychodzić wcale z domu. Ztąd owo rozporządzenie magistratu. Dalsze losy cudnej Pauli nie są znane.

Dlaczego chustki nie są okrągłe?

Na pytanie to rzadko kto bezwątpienia dać może odpowiedź, a jednak istnieje dokument, objaśniający kształt kwadratowy owych niezbędnych każdemu kawałków płótna lub perkalu. Dnia 23-go września 1784 r. pojawił się w urzędowej gazecie francuzkiej następujący rozkaz królewski: „Długość wyrabianych w kraju naszym chustek do nosa ma się równać ich szerokości." Rozporządzenie to królewskie dotychczas widocznie jest obowiązujące, skoro nikomu nie przyszło na myśl zbudowania maszyny, wyrabiającej chustki — okrągłe.

Arcydzieło z włosów.

Kościół St. Frideswide w Londynie otrzymał od jednej ze swoich parafianek utkany z włosów obrus na ołtarz. Na środek składają się włosy czarne, białe, blond i kasztanowate, cały szlak zaś zrobiony jest z włosów rudych, a wszystkie są bardzo kunsztownie dobrane i ułożone. Obrus ma 3 metry długości i 1,10 m. szerokości; specyalista wyrabiający różne przedmioty z włosów, pracował nad nim 10 lat i otrzymał 2,200 fst. wynagrodzenia.

Dział rolniczo-ekonomiczny.

Wybieranie ziemniaków do sadzenia.

W powszechnem u nas zwyczaju jest wybieranie ziemniaków do sadzenia dopiero na wiosnę, przyczem gospodarze wyobrażają sobie zwykle, że im kto większe kłęby przeznacza do sadzenia, tem też lepszego dopełnia wyboru i tem obfitszego spodziewać się ma prawo urodzaju. Zapatrywanie takie jednak jest podwójnie fałszywe. Bo—po pierwsze: wybór odpowiednich do sadzenia kłębów dokonany być może jedynie tylko w jesieni a to dlatego, że uwagę zwracać potrzeba nietylko na sam kłąb, lecz więcej nawet jeszcze należy przypatrzeć się krzakowi, z pod którego kłąb ten pochodzi; powtóre wybieranie największych kłębów zwiększa tylko niepotrzebnie koszt sadzenia, gdyż ziemniaków wychodzi wtedy bardzo dużo, a to do zwiększenia zbioru wcale się jednak nie przyczynia. W dużym ziemniaku nagromadzony jest tak znaczny zapas skrobi, iż młoda roślina nawet i połowy nie zdąży jej zużyć, kiedy reszta już gnić i psuć się zaczyna. Przekonać się o tem można bardzo łatwo podczas kopania; zawsze bowiem wtedy znaleźć można między młodemi kłębami i stare, macierzyste, lecz już zbutwiałe i zgniłe.

Takie nawożenie ziemniakami pod ziemniaki jest wprawdzie bardzo kosztowne, lecz przynajmniej nie szkodliwe, kiedy wybieranie sadzeniaków z kopców na wiosnę, nie zaś z pod krzaków w jesieni, naraża rolnika na szkodę, bo do zmniejszenia plonu i wyrodzenia się prowadzi. Któż bowiem zaręczyć może, czy wybrany z kopca na wiosnę ziemniak nie pochodzi z pod krzaka, zarażonego chorobą taką, której zarodek nieznacznie ukrywa się w wybranym kłębie? Albo czyż ma się wtedy jakąkolwiek, najmniejszą bodaj pewność, iż nie pochodzi on z pod tak mało plennego krzaka, pod którym zaledwie dwa lub najwyżej trzy tylko znajdowały się ziemniaki? A przecież z jakich krzaków pochodzić będą sadzeniaki, tekie same znów i krzaki wydadzą, bo takie jest ogólne prawo dziedziczności.

Przypomnijmy sobie zresztą to, że w każdym gatunku ziemniaków trafiają się krzaki trudniej i łatwiej podlegające zarazie, więcej i mniej plenne, silniejsze i słabsze, słowem rozmaite, co już bodaj z tego zauważyć można, iż na jednych dużo zawiązuje się jagód nasiennych, na drugich zaś mało, a są i takie, których kwiat wcale nie wydaje nasienia, pomimo iż sadzone są jednego dnia i w jednakowo uprawionej ziemi. Krzaki o tak różnej plenności i sile trafiają się we wszystkich gatunkach ziemniaków wszędzie, zawsze i stale.

Pokazuje się więc, iż w każdym kłębie ziemniaka, tak samo, jak i w każdym ziarnku nasiennem tkwi niewidzialna siła dziedziczności, która sprawia, iż każdy nowowyrastający krzak jest najzupełniej podobny do krzaka, z jakiego i kłąb ten pochodzi.

Z tej to właśnie dziedziczności korzystają różni hodowcy ziemniaków i dobierając starannie nasienie i kłęby z najsilniejszych, najzdrowszych i najplenniejszych krzaków, wytwarzają nowe, ulepszone gatunki, jakichby bez tego nie było. Co prawda, to tacy sławni hodowcy, oprócz starannego wybierania krzaków, używają jeszcze innego sposobu, mianowicie krzyżowania różnych gatunków ze sobą zapomocą sztucznego zapładniania kwiatów. Jest to jednak robota trudna i nie każdy rolnik lub ogrodnik mógłby ją wykonać, więc też pozostawmy ją uczonym, a natomiast z tem większą starannością wybierajmy kłęby do sadzenia nie na wiosnę, lecz teraz, w jesieni, przy kopaniu.

Nie potrzeba przecież na to ponosić żadnego kosztu, ani też żadnego nadzwyczajnego zachodu i kłopotu, wystarczy bowiem mieć przy kopaniu zamiast jednego — dwa koszyki. Jeden z nich służyć będzie do zbierania ziemniaków na codzienny użytek, drugi zaś tylko na wybrane nasienniki z pod najzdrowszych i najplenniejszych krzaków. Ma się rozumieć, że z każdego koszyka zsypuje się w osobne kopce i osobno przechowuje podczas zimy.

Kto w ten sposób ziemniaki do sadzenia zawsze wybierać będzie, a przytem jeszcze co sześć lub osiem lat zasieje je z nasienia, zebranego z łętów, temu ziemniaki się nie wyplenią i na pewno będzie miał znacznie lepsze, niż inni urodzaje.

K. D.

Przechowywanie zboża wymłóconego.

Największa wartość zboża zależy przedewszystkiem od tego, jakiem ono jest w dotknięciu. Sprzedając zboże, widzimy, jak kupiec chwyta próbkę całą garścią, a jeżeli jest ziarno lepkie i wilgotne, natenczas podaje za nie znacznie niższą cenę, aniżeli za suche. Nawet takie zboże, które wskutek deszczu przed sprzętem, lub w czasie tegoż, ucierpiało, można przez staranne i właściwe obchodzenie się z niem podwyższyć od 5 do 10 proc. w wartości w przeciągu kilku tygodni. W tym celu trzeba zboże ile możności miałko rozsypać i przerabiać w chłodne i suche dni, nigdy jednak w czasie, kiedy deszcz pada.

Przeróbkę należy w ten sposób wykonywać, aby każde ziarno przy wysokim rzucie najdłużej z powietrzem się stykało. Gdy przez częste przerabianie niewątpliwie nabierze suchości w dotknięciu, natenczas wystarczy co 4 tygodnie 1 przeróbka aż do Lutego, a zawsze wykonana w czasie chłodnego i suchego powietrza. Jeżeli bowiem przerabia się przy wilgotnem powietrzu, to wilgoć udziela się ziarnu, a w takim razie łatwiej ulegnie zepsuciu.

Rozmaitości.

Kiedy wynaleziono papier?

Że nasz papier jest wynalazkiem chińskim, a rozpowszechnił się w Europie w czasie wojen krzyżowych (w Niemczech około 1190 r., we Francyi około 1250 r.) znanym jest faktem. Uczony Sven-Hedin znalazł na potwierdzenie tego faktu papier chiński, w dobrym stanie zachowany, pochodzący z drugiej połowy III wieku naszej ery. Sven-Hedin odkrył mianowicie w piasku pustyni Gobi, w pobliżu dawniejszego wybrzeża w Lop-Noin, ruiny miasta, a w jednym z największych tegoż domów, wielką ilość manuskryptów starochińskiego pisma, przeważnie na drewnianych sztabach, częściowo jednak i na papierze spisanych. Pierwsze można było odczytać, drugie były w stanie fragmentów, niezmiernie jednak ważnych, jako dowód, że papier chiński przetrwał 1650 lat. Uczeni wzięli się do odcyfrowania manuskryptów; znawca języka starochińskiego, Himly w Wiesbadenie twierdzi, że pochodzą z 265—270 roku po Chrystusie. Jakość papieru, znalezionego w pustyni Gobi, dowiodła, że w III. stuleciu wyrabianie papieru z włókien roślinnych już było znanem. Wątpić należy, czy którykolwiek z naszych gatunków „ulepszonego“ papieru, przetrwa choć połowę tego czasu, co pierwotny chiński.

Dodatek Humorystyczny.

Stagnacya.

Wielu prenumeratorów „Pracy" ze sfer przemysłowców, kupców, fabrykantów, rzemieślników, właścicieli dóbr ziemskich, gospodarzy domów i t. p. nadsyła mi zażalenia piśmienne na stagnacyę, która, jakoby wszystkim tym sferom srodze daje się we znaki.

Właściciel handlu p. A. pisze naprzykład:

„Taki zastój w handlu, że dłużej chyba nie wytrzymam."

Dziedzic p. B. donosi:

„A to można rozum stracić! Wydatki ogromne, ceny zboża nie wysokie, warunki gospodarowania na roli coraz uciążliwsze. Już nie wytrzymam!"

A oto wyjątek właścicielki magazynu mód z Indykowa (powiat Kurczątkowski) pani C.

„Damy tutejsze, dla oszczędności, głowy okrywają chustkami, a przytem chodzą boso. Właścicielce zakładu konfekcyi wobec podobnych dowodów zastoju pieniężnego nie pozostaje jak się powiesić. Dłużej wytrzymać nie sposób."

O grozie sytuacyi nabędziemy pojęć jeszcze dosadniejszych po przeczytaniu listu właściciela składu żelaza z prowincyi Judki Pęcherzyka.

„Jak żądać gotówki, to towaru nie kupują, jak dać na kredyt, to nie płacą, jak nie dać na kredyt, to oni obejdą się bez żelaza, zupełnie jak gdyby żelazo istniało po to, by go nikt nie kupował. Z takiemi porządkami umywam ręce od wszystkiego i idę się utopić, bo dłużej wytrzymać ani sposób z uszanowieniem."

Innych listów, zupełnie podobnych treścią, nie przytaczam.

Wszystkie te utyskiwania na pierwszy rzut oka zdają się dowodzić: 1) że stagnacya istnieje i 2) że nikt już dłużej nie wytrzyma.

Skoro tak, to miastom, osadom i wsiom grozi wyludnienie. Gdy wszyscy, dla których obecne położenie stanu interesów jest już niemożliwem do przetrwania, odejdą z tego świata, natenczas położenie moje, żony i dzieci będzie przykrem nad wszelki wyraz.

Któż nam bowiem szyć będzie odzież i obuwie, kto wyprodukuje artykuły spożywcze, kto sprowadzi je do miasta i sprzeda?

Albowiem my, ludzie nadzwyczaj nędzni, nie posiadający fabryk, przedsiębiorstw, majątków ziemskich i firm wszelkiego rodzaju, my ludzie, utrzymujący się z pracy mózgów i rąk, potrzebujemy żyć i mieć możność łatwego otrzymywania środków do życia — za nasze zapracowane pieniądze.

Panowie rolnicy i przemysłowcy nie mogą żądać, abym np. ja, literat i głęboki myśliciel, dla wyżywienia rodziny, jak to bywało przed wiekami, uganiał się całemi dniami za dziką zwierzyną, wyrabiał odzież ze skór zwierzęcych, kopał nory na mieszkanie i t. p., bo któż mnie zastąpi w pisywaniu artykułów do „Pracy?"

Występując przeto w obronie własnej i wszystkich mi życzliwych, niniejszem najuprzejmiej upraszam p. p. produkujących i handlujących, aby zaniechali „niewytrzymania" i aby raczyli przetrwać „ciężkie czasy," zwłaszcza, że słyszę to od nich bez przerwy od chwili zakwilenia po raz pierwszy na tej kuli ziemskiej. We dwa dni po urodzeniu słyszałem mianowicie utyskiwania taty:

— Czasy ciężkie, aż strach a tu mu się mamki zachciewa... pieczeniarz! Trudno wytrzymać! Po upływie roku i ośmiu miesięcy, matka mówiła do ojca:

— Co on sobie myśli, że posiadamy kopalnię złota? Czasy ciężkie, a on tymczasem wyrasta z sukienek... To nie do wytrzymania!

Następnie, w ciągu dalszego mego rozwoju fizycznego, rodzice nie mogli wytrzymać z powodów, że darłem buty (i rodzeństwo za uszy), że niszczyłem książki, a potem... ożeniłem się z panną bez posagu.

Pomimo to wszystko, groźby „niewytrzymania" nigdy nie były urzeczywistnione, a jeżeli dzisiaj rodziców już nie posiadam — wynikło to z powodów nie mających żadnej łączności ze stagnacyą.

Z tego co się powyżej powiedziało, można przypuszczać, że stagnacya i ciężkie czasy już były znane w głębokiej starożytności, oraz w epoce średniej, co powinno dodać nam otuchy w przetrwaniu niepowodzeń pieniężnych w dobie współczesnej. .....

Z notatnika człowieka, który już przestał pisać:

„Ze wszystkich płynów najbardziej gryżącym, najbardziej palącym, najgroźniejszym jest atrament, gdyż plami palce, papier i sumienia. Są zarozumiali, którzy twierdzą, iż można go wywabić, ale ludzie ci mylą się, gdyż chemia napróżno szuka środków na wywabianie takich n. p. dokumentów, atramentem pisanych, jak akty ślubne, solaweksle i t. p. W jednym tylko razie atrament bywa cieczą dobroczynną: jeżeli rozleje się i to, co poprzednio napisał, zaleje..."

Mały Fredzio.

Pani: Moja Teklusiu, nie mogę ci pozwolić tak często wychodzić; dopiero trzy dni temu nie było cię całe popołudniu.

Teklusia: Kiedy proszę pani obiecałam ciotce, że ją odprowadzę na kolej.

Mały Fredzio (wstawiając się za służącą): Niech mama pozwoli Teklusi wyjść; jej ciotka została kapralem i dostała nowy mundur z galonami i pałasz.

Bardzo przyjemna rodzina.

Pani A.: To bardzo przyjemna rodzina: Jan tańcuje jak anioł, Tomasz ma śliczny tenor, Jerzy gra na fortepianie, Julcia ma wcale ładny talencik do robienia karykatur.

— Pani B.: A Henryk?

— Pani A.: Phu! Henryk dosyć nudna figura: Cały dzień pracuje i myśli tylko o utrzymaniu rodziny.

W wagonie.

Pasażer A. do pasażera B., który chcąc się rozłożyć wygodnie do podróży, usiadł mu „przypadkiem" na głowie.

— Przepraszam pana najmocniej, ale przez dziwny kaprys natury — mam głowę...

Ładna reklama.

W poczekalni dentysty.

— Słyszysz pan; jak tam ktoś w gabinecie wrzeszczy?

— Nie wierz pozorom; tam w gabinecie niema nikogo i tylko sam dentysta krzyczy, aby myślano, że ma pacyenta.

Dział powieściowy.

ŚPIEWACZKA LUDOWA.

Powieść illustr., oparta na faktach historycznych z r. 1851.

20)

(Ciąg dalszy.)

— Więc wyjdź teraz z Leonem i zostaw mnie na chwilę samego z twoją córką!

— Chcesz się z nią rozmówić kapitanie? Albo może chcesz jej pomódz do ucieczki, aby uniknęła mej kary! Ale chociażbym ci po raz pierwszy miał się stać nieposłusznym, to jednak ona pokutować musi! Kto zgrzeszy, ten powinien być ukaranym. Nie odstąpię od tego!

— Ona zgrzeszyła? A pytałeś jej, dlaczego? Ja się z nią rozmówię, i wybadam ją — nie wierzę bowiem, aby miała być złą i zepsutą! A teraz wyjdźcie i zostawcie nas samych — zawołam was potem!

Wójt i Leon wyszli.

Henryk i Kasia zostali sami.

ROZDZIAŁ XLVIII.

Spowiedź Kasi.

— Usiądź moje dziecko, — zaczął Henryk, posuwając jej krzesło. — Cóż to, nie chcesz?

— Nie! — zawołała Kasia rzucając się na kolana, — na klęczkach muszę panu podziękować za tę dobroć wielką i wyznać całą prawdę! Ach, jaki pan dobry! Chyba Bóg lepszym być nie może!

— Jestem tylko człowiekiem, grzesznym tak jak ty. Ale dla tego właśnie czuję litość dla ciebie, i jeżeli mi powiesz prawdę, to możesz liczyć na mnie, jak na przyjaciela! Pierwsze kłamstwo natomiast rozłączy nas na zawsze! Nie zapominaj o tem i rozpoczynaj twoją spowiedź!

Ale Kasia milczała.

— No dalej, moje dziecko, — zachęcał ją Henryk, — zaczynaj! Opowiedz mi, kiedy przyszły ci po raz pierwszy grzeszne myśli do głowy, kiedy......

— Ach, ja nie mogę opowiadać, — załkała Kasia.

— Więc będę ci stawiał pytania! Nie widziałem cię już dawno, sądzę zatem że byłaś gdzie na służbie, nieprawda?

— Tak, służyłam w zamku!

— W jakim? Kto był twoim panem?

Leśniczy Horn, administrator dóbr pana barona Krausneka.

— Ah, u Horna służyłaś! Prowadziłaś mu pewnie gospodarstwo, bo o ile wiem, to żona jego przed dwoma laty umarła.

— Tak jest!

— Kto tam jeszcze służył? To jest — we dworze?

— Nikt!

— Jakto, ty sama załatwiałaś wszystkie prace domowe?

— O tak, musiałam dużo pracować, od rana do wieczora, ale ja chętnie pracowałam. Z początku było też wszystko dobrze, ale potem, ach.....

— Mów dalej, moje dziecko. Kto cię namówił do grzechu?

Kasia drżała jak we febrze.

— Pozwól mi pan uciekać, — szepnęła, — ja się pójdę utopić.

— I popełnisz jeszcze jeden grzech śmiertelny! Miej zaufanie do mnie, ja ci żadnych wyrzutów robić nie będę. Kochałaś i nie mogłaś oprzeć się pokusie....

— Nie, nie, ja go nie kochałam! — jękła Kasia.

— Nie kochałaś go? W takim razie nie rozumiem tego — ale nie chcę sądzić, nie wysłuchawszy wszystkiego! Może on postąpił jak złodziej — gdyby tak było, to ja pierwszy zabiję go!

— Powiem teraz wszystko..... Z początku więc byłam bardzo zadowolona, — zaczęła Kasia cichym, drżącym głosem, — leśniczy był wprawdzie szorstkim, i łajał mnie często, ale ja znosiłam to i starałam się jeszcze lepiej wykonywać moje roboty. Było mi tylko nieprzyjemnie, że mieszkam z nim sama w tym ogromnym zamku, bo gdy on wychodził do lasu, to ja zostawałam bez żadnej opieki i pierwszy lepszy włóczęga byłby mnie mógł zabić. A leśniczy wychodził co noc, musiał bowiem pilnować, aby ludzie nie zbierali chróstu!

— Naturalnie, byłoby mu to wielką wyrządziło krzywdę, — uśmiechnął się Henryk szyderczo. — Ale mów dalej!

— Zamykałam zawsze na klucz drzwi mego pokoju, bo się obawiałam złodzieji, ale gdy się leśniczy o tem dowiedział, wyłajał mnie mówiąc, że do zamku żaden złodziej wejść nie śmie. Złodzieje i rozbójnicy napadają tylko tych, którzy się bronić nie umieją, on zaś nie boi się niczego, i gdyby go raz rozbójnicy tatrzańscy napaść mieli, to on przyjąłby ich tak, że popamiętaliby o tem przez całe życie.

— Mówił on tak? doprawdy?

— Tak!

— Mów dalej!

— Zakazał on mi wprost zamykać na klucz mój pokój, mówiąc, że mogłabym raz w nocy zachorować, albo ogień mógłby wybuchnąć, i chociażbym wołała o pomoc, to nikt nie mógłby do mnie przyjść! Odtąd więc nie zamykałam ich już. Tak minęło pół roku i ludzie dziwili się, że ja zawsze jeszcze tam jestem, bo żadna tak długo wytrzymać nie mogła, a Cecylka, która przedemną tam służyła, utopiła się nawet. Mówiono, że nie mogła tam żyć dłużej; była to bardzo dobra i uczciwa dziewczyna i wstyd popchnął ją do samobójstwa!

— Wstyd! — powtórzył Henryk mechanicznie.

— Tak. Leśniczy był zawsze bardzo ostry i szorstki dla mnie. Nie przemówił nigdy łagodniejszego słowa, ale raz — ach, jak trudno mi o tem mówić! Raz, gdy byłam zajęta rozwieszaniem bielizny, przyszedł niespodziewanie leśniczy i objąwszy mnie niespodziewanie — pocałował mnie w twarz! Byłam tak przestraszona, że słowa wymówić nie mogłam, a on śmiał się i mówił, żem nierozsądna, że powinnam się cieszyć, że się jemu podobam!

— Nie, — zawołałam, — wolałabym się raczej zabić, albo utopić tak, jak Cecylka, niż uwierzyć słowom pana!

— A chciałabyś zostać panią leśniczową? — zapytał kusiciel.

— Panią leśniczową! To była wędka, na którą mnie złowił, to były słowa, które mu szatan podszepnął na moją zgubę.

Patrzałam na niego niedowierzająco, a on dodał prędko:

— Przecież jestem wdowcem, i mogę się ożenić z kim chcę! Od dwóch lat potrzeba mi już żony i pani domu! Nie mogę żyć dalej taki samotny, dlatego postanowiłem się ożenić!

— Ale pan możesz ożenić się z jaką bogatą panną, — rzekłam, — jakżebym ja, taka biedna wiejska dziewczyna, mogła zostać żoną pana!

— Jesteś ładną i uczciwą, to mi wystarcza! Nie potrzebuję patrzeć na pieniądze mam ich sam dosyć, więcej, niż wszyscy ci, którzy by mi chętnie dali swe córki, i właśnie dla tego aby ich ugniewać, ożenię się z tobą!

Od tego dnia żyłam, jak w gorączce, pokusa zbliżyła się do mnie i nie mogłam jej się oprzeć! Zapomniałam o tem, że nie kocham leśniczego, że nie obiecuję sobie nawet szczęścia w tem małżeństwie — powtarzałam sobie nawet to, że Cecylka się utopiła, ale myśl, że zostanę panią

leśniczową, że będę mieszkać w zamku, zbyt była ponętną. I tak oszukiwałam się sama, gorzej jednak, że mnie leśniczy także oszukał. — Co się potem działo, tego już opowiedzieć nie mogę, dosyć, że ten okropny człowiek miał taką nademną władzę, że mógł robić ze mną, co mu się podobało.

Wczoraj na wieczór gdy chciał wyjść do lasu, prosiłam go, aby został w domu, że musimy się rozmówić co do naszego ślubu.

— Jakiego ślubu? — zawołał.

Powiedziałam mu wtedy, że tylko prędki ślub może pokryć moją hańbę, i że teraz powinien dotrzymać przyrzeczenia.

Ale on roześmiał się szyderczo.

— Czyś oszalała? — krzyknął. — Czego ty właściwie żądasz?

— Czego żądam? Ślubu! — odrzekłam. — Przecież przysiągłeś mi, że się ze mną ożenisz!

— Zdaje mi się, że zmysły straciłaś! Ja ci nic nie przysięgałem, ani przyrzekałem!

A gdy na wpół przytomna, przypomniałam mu własne jego słowa, uniósł się strasznym gniewem i krzyknął gwałtownie:

— Czy myślisz, że ja, leśniczy Horn, ożeniłbym się z córką jakiegoś tam żebraka, z prostą, wiejską dziewczyną? O, ja znam inne, które by się o zaszczyt zostania moją żoną ubiegały!

Na te słowa rzuciłam się na niego i uderzyłam go w twarz.

— Ach ty podły uwodzicielu, — krzyczałam, — więc z zimną krwią pozbawiłeś mnie mojej dobrej sławy, okradłeś mnie i zrabowałeś..... Ale czekaj, ja na sąd pójdę i zażądam pomocy!

Zanim jednak to wymówiłam, uderzył on mnie szpicrutą, raz jeden i drugi i zbił mnie okropnie, wołając przytem:

— Wynoś się z mojego domu, ty nędznico! Ani godziny dłużej nie wolno ci być pod moim dachem!

Z wstydem i hańbą wypędzono mnie z zamku, batem wybił mnie ten, który stał się sprawcą całego mego nieszczęścia. Chciałam być w zamku panią, a zostałam najnieszczęśliwszą w świecie dziewczyną.

— I cóż dalej? — zapytał Henryk.

— Stałam sama na drodze z rozpaczą w sercu i obrzydzeniem dla ludzi i samej siebie.....

— I wszystko to działo się wczoraj?

— Tak, wczoraj, około jedenastej na wieczór.

— Gdzie przepędziłaś noc?

— Do domu, do ojca nie śmiałam przyjść, chciałam się też namyśleć najpierw nad tem, co robić teraz — i tak pobiegłam w góry, zmokłam okropnie, i zatrzymałam się nagle przed wielkim stawem w lesie.

— Nie myślałaś przecież o samobójstwie!

— Ach, zdawało mi się, że fale mówią do mnie. — Pójdź do nas, tak jak Cecylka, my ci damy spokój i zapomnienie — zrzucisz naraz cały ciężar życia i będziesz szczęśliwą! — Nie miałam jednak odwagi — chciałam już wskoczyć i cofnęłam się, nie mogłam! Poszłam więc dalej! Błąkałam się tak całą noc, odpoczywałam, drzemałam i nareszcie przyszłam tutaj.....

Teraz powiedziałam już wszystko, i Bóg mi świadkiem, że mówiłam szczerą prawdę. Największym moim grzechem jest to, że pierwszego zaraz dnia, gdy leśniczy zbliżył się do mnie, nie opuściłam domu jego, i że próżność mnie zaślepiła.

Nie kochając go wcale, byłabym chętnie została jego żoną, byleby mieszkać w zamku i być panią leśniczową. Zresztą nie czuję się winną mej hańby!

Henryk uchylił się i podniósł nieszczęśliwą dziewczynę.

— Biedne dziecko, — szepnął wzruszony, — zgrzeszyłaś wprawdzie, ale nie tyle, ile ten podły człowiek. Wpadłaś w ręce niesumiennego uwodziciela, którego nienawidzieć i którym pogardzać musisz, stałaś się jego ofiarą i ojciec twój nie powinien cię zabić, lecz płakać nad tobą!

Potem otworzył drzwi i przywołał Kamczyka i Leona.

— Patrzcie, — rzekł, — ja jestem szlachcicem, a trzymam rękę Kasi, nie boję się jej dotknięcia i uważam ją za uczciwą dziewczynę. Kamczyku, córce twej ciężką wyrządzono krzywdę — wybacz jej!

— Nigdy! Nie wybaczę jej, bo okryła hańbą mój dom i nazwisko! I ja miałbym jej to wybaczyć? Nie, kapitanie, tego nie możesz odemnie żądać!

— A jednak żądam, i wiem, że uczynisz to, gdy się całej dowiesz prawdy! Nie ona jest winną, tylko ty!

— Ja! To dobre! Żartujesz chyba kapitanie, a dziś ja do żartów nie mam ochoty!

— Mówię zupełnie na serjo! Zawiniłeś tem, że oddałeś córkę do domu człowieka, który jest najgorszym i najnieuczciwszym na całą okolicę!

— Leśniczy Horn jest złym i niegodziwym, ale cóż to ma wspólnego z upadkiem Kasi?

— Horn jest jej uwodzicielem!

Wójt cofnął się i przerażony spojrzał na Henryka.

— Boże! — krzyknął, przyciskając obie ręce do czoła, — co ja zaślepiony uczyniłem! Że ja tego od razu nie przewidziałem! O ten nędznik, ten łotr! Zgubił mi córkę! Uwiódł mi ją przemocą!

— Gorzej, bo przysięgał jej, że się z nią ożeni!

— Gdzie moja strzelba! — krzyczał wójt, — gdzie moja strzelba! Dawajcie mi ją! Ah, nabita — sześć kul — ale jedna wystarczy! Ręka mi nie zadrży — dawajcie mi strzelbę..... On żyć nie powinien! Ja mu zapłacę — oko za oko ząb za ząb — zastrzelę go jak psa!

I już rzucił się jak szalony ku drzwiom. Gdyby Henryk był mu pozwolił teraz iść, to Kamczyk byłby zpewnością pobiegł do zamku i byłby zabił leśniczego.

Ale i siebie byłby może zabił. Rozpacz jego i uniesienie nie miały granic.

— Ojcze! — krzyknęła Kasia zastępując mu drogę, — nie chódź tam! On cię zabije! Jego pomocnicy rzucą się na ciebie, zamkną cię.....

Ale wójt wyprostował się dumnie i rzekł:

— Mnie zamknąć! Chciałbym tego widzieć, kto mi wydrze moją ofiarę! Gdy chodzi o pomstę, to mnie nikt nie zwycięży. Pójdź ze mną Leonie! Okazywałeś mi zawsze dużo przywiązania, ja kocham cię jak syna, pójdź ze mną! Patrz na tę biedną zniesławioną, która tu stoi przed nami — pomóż mi ukarać tego nikczemnika!

Leonowi bardzo się widocznie ta propozycya podobała.

Wyjął nóż z kieszeni i próbował jego ostrza, a w oczach błysnęła chęć walki i rozboju!

Ale Henryk powziął tymczasem inne zamiary.

— Schowajcie waszą strzelbę i nóż, — zawołał rozkazująco, — żaden z was leśniczego nie zabije!

— Kto mi to zakaże? — rzekł wójt ponuro.

— Ja!

Odpowiedź Henryka krótką była i spokojną.

— O, kapitanie, tak daleko nie sięga twoja władza, — zawołał wójt rozgniewany. — Nie możesz mnie wstrzymać od pomszczenia mej córki. Tu się nie ma co namyślać, chociażby się leśniczy otoczył całym pułkiem żołnierzy, to ja go sobie wezmę pośród nich! I chociażbym wiedział, że zabijając jego zadaję śmierć sobie samemu, to nie zawahałbym się ani na chwilę! On musi umrzeć z mojej ręki!

— Umrze też, ale nie teraz! Posłuchaj mnie, wójcie, a ty Leonie zamknij drzwi, to co wam powiem musi pozostać tajemnicą. Kasia może pozostać! Ona należy do nas, kto tak upadł, ten nie ma innego wyjścia, jak przyłączyć się do rozbójników tatrzańskich!

Kasia zadrżała. Znała ona dotąd Henryka, jako swego pana, dziedzica Horki, i byłaby się spodziewała prędzej końca świata jak tego, że dziedzic jest dowódzcą rozbójników.

Więc ojciec jej także był opryszkiem!

Ale zaledwie pojęła to wszystko, rzuciła się na kolana przed Henrykiem, i podnosząc ręce jak do przysięgi, zawołała:

— Kapitanie, przysięgam ci wierność! Przyjmij mnie do twego stowarzyszenia, a chociaż tylko jestem kobietą, to mogę ci się stać użyteczną! Zostanę twoim szpiegiem — żadna noc nie będzie mi za ciemną, żaden wicher za gwałtownym, zobaczysz, że będziesz ze mnie zadowolony!

— Zgadzam się na to, — odrzekł Henryk i podał jej rękę. — Od tej chwili należysz do nas!

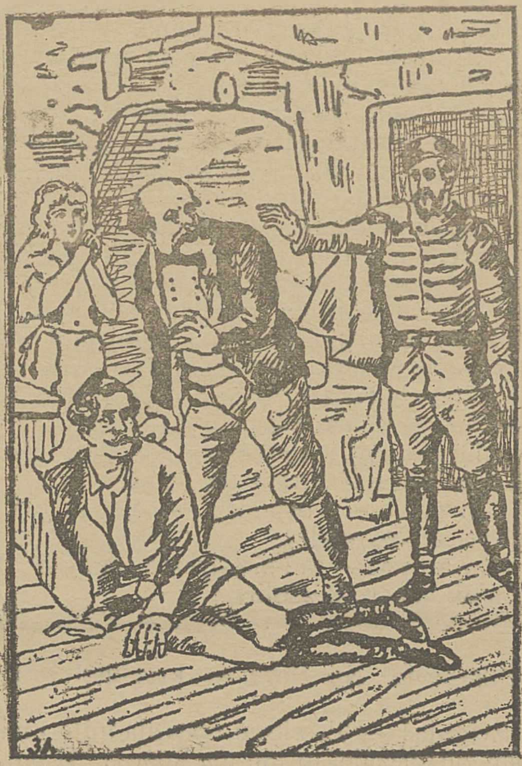
— Dziękuję, ach — dziękuję — jąkała Kasia ze łzami w oczach.

— Nie zapominaj, — zaczął znowu Henryk, — żeś przysięgłaś mi wierność! Ja nie znoszę żadnej opozycyi — kto nie wypełnia moich rozkazów, ten umiera, kto zdrajcą się staje, umiera także!

Na te słowa okryła się twarz Leona gorącym rumieńcem.

Spuścił oczy i ująwszy rękę Henryka, przycisnął ją do ust.

— Słuchajcie, — mówił Henryk dalej, — wyjaśnię wam teraz mój plan. Od dawna już stoi leśniczy Horn na liście tych, którzy na surową zasłużyli karę. On wyzyskuje lud, oszukuje swego pana i jest nielitościwym dla biednych. Niedawno postrzelił okropnie małe dziecko, zbierające chróst w lesie, a biednej, starej wdowie, nie mogącej opłacić mieszkania, zabrał wszystko co miała i wypędził ją w świat! Musimy go ukarać, i to dzisiejszej nocy. Oddawna już zamierzałem zwiedzić zamek barona Krausneka. Znajdują się tam podobno ogromne kosztowności, należące do księcia Adama Starzyńskiego, i chciałbym je zabrać, ale dla tego tylko aby je oddać właścicielowi, bo książe Adam jest moim przyjacielem! Jak wam się podoba mój plan? Jutro leśniczy żyć nie powinien, co mówisz na to, Kamczyku?



Tak wasz kapitan — rzekł Henryk marszcząc gniewnie czoło. (Patrz powyższe słową w rozdziale XLVII).

— Zgadzam się na wszystko! — zawołał wójt, a oczy jego dzikim zajaśniały blaskiem. — Zemstę moją polecam tobie, kapitanie! Ale jedno musisz mi przyrzec, tylko to jedno......

— Cóż takiego?

— Że ja sam, ja sam zabiję nędznika! W jaki sposób, to już moja rzecz!

— Dobrze! Zdaje mi się jednak, że śmierć ta nie będzie zbyt lekką!

— O co nie, to nie!

Człowiek ten nie zasłużył też wcale na śmierć uczciwą! Rób z nim, co chcesz!

Po tych słowach zarzucił Henryk płaszcz i wyszedł, zostawiając w domu Kamczyka rozpacz i plan straszliwej zemsty. Leśniczy nie byłby pewnie spokojnym, gdyby był wiedział, jakie następstwa wynikną z jego niegodziwości. Nie przeczuwał on nic złego! —

ROZDZIAŁ XLIX.

Przeszłość Michała Kamczyka.

Po wyjściu hrabiego zwrócił się Kamczyk do swej córki.

Twarz jego straciła już wszelki wyraz gniewu, a głos zupełnie brzmiał łagodnie.

— Kasiu! — szepnął, pochylając się ku niej.

— Czego chcesz, ojcze?

Brzmiało to zupełnie inaczej, niż przed godziną, gdy ojciec własną chciał zabić córkę.

Kamczyk nad życie kochał swoje dziecko jedyne. Miał on więcej dzieci, ale wszystkie umarły, Kasia została sama i była całem jego szczęściem. Wychował ją też z wielką troskliwością i dał jej lepsze trochę wykształcenie.

— Idź spać, — rzekł teraz do niej, — musisz wypocząć. Przeszła noc bezsenna w lesie, zmęczyła cię zanadto, a ty musisz być zdrową i silną. Idź moje dziecko!

Kasia usłuchała natychmiast. Spojrzała jeszcze raz na ojca i na Leona, który siedział w kącie zamyślony i milczący i wyszła z izby.

— Pójdź, rzekł wójt do Leona, — pomóż mi wyporządzić dach. Chcę mój dom utrzymywać zawsze w porządku!

Zaraz potem znajdowali się obydwaj na dachu, zajęci pracą. Jeden i drugi milczał, wójt tylko śmiał się od czasu do czasu, i zamyślał się znowu głęboko.

Na dole, na dziedzińcu po za domem, siedział na ławce stary, zgarbiony mężczyzna w futrze, pomimo, że nie było zimno, i rysował laską na piasku najrozmaitsze figury i liczby.

Około południa przerwał wójt swoją pracę, zeszedł z dachu i zbliżył się do starca.

— No, jakże się miewacie, przyjacielu, — zapytał. — Lepiej wam trochę?

— Dziękuję, — odrzekł stary, — bardzo mi dobrze. Gdybym tylko wiedział, kto jestem! Nie możecie mi powiedzieć, jak ja się nazywam? Przecież muszę mieć nazwisko! Każdy je ma, tylko ja nie!

Nieszczęśliwym tym był Wolf z Wiednia, ojciec Hanusi...

Gdy go Henryk wyratował z przepaści, do której go Bondi zrzucił, żył on jeszcze i stosunkowo dosyć się prędko wyleczył, dzięki troskliwej opiece Kamczyka. Rany jego zagoiły się wnet, ale strach i wstrząśnienie, jakiego doznał, spadając w przepaść, a może i silne uderzenie kijem w głowę stało się przyczyną lekkiego pomieszania zmysłów. Nie był on wprawdzie waryatem, bo mógł o wszystkiem rozmawiać, ale zapomniał swego nazwiska i nie mógł sobie w żaden sposób przypomnieć przeszłości. Choroba taka zdarza się czasem i jest okropną dla nieszczęśliwych, którzy ją mają. Starają się oni wszelkiemi sposobami przypomnieć sobie nazwisko i przeszłość i nie mogą!

Pod tymi warunkami zostawił Henryk Wolfa nadal w domu Kamczyka.

Nie mógł on oskarżyć Bondiego, bo nie miał tego, co było najważniejszem, to jest, pamięci.

Dzień ten minął nareszcie. Po obiedzie pracował Kamczyk z Leonem znowu na dachu, stary Wolf, otulony futrem chodził po podwórzu, albo siedział i pisał liczby, a Kasia, zmęczona, spłakana, usnęła mocno i jeszcze się dotychczas nie obudziła. Przed wieczorem dopiero otworzyła oczy i zaraz się też do roboty domowej zabrała. Przygotowała więc kolacyą, a gdy około siódmej przyszedł ojciec z Leonem, był już stół nakryty i wyborna pieczeń sarnia leżała na talerzu.

Przed kilku dniami zastrzelił Leon sarnę w lesie Horna!

Wolf przyszedł także na kolacyą. Miał on bardzo dobry apetyt i jadł z chciwością nieomal zwierzęcą.

Zaraz po kolacyi kazał mu wójt iść do swego pokoiku i położyć się do łóżka, i teraz został sam z Kasią i z Leonem.

— Kiedy pójdziemy na zamek? — zapytał Leon. — Kapitan nie wyznaczył godziny!

— W takim razie zastosujemy się do dawniejszej umowy, — odrzekł wójt. — O wpół do dwunastej staniemy w zamku. Jakie tam powietrze?

Kasia stojąca przy oknie otworzyła drewnianą okiennicę i wyjrzała.

— Noc ciemna, — rzekła, — ale nie ma ani wiatru ani deszczu!

— Tem lepiej, — zawołał wójt .— Noc musi być ciemną — czarną, tak czarną, jak zemsta! Wiatru i deszczu nie potrzebujemy.

Teraz wstał, nałożył sobie krótką, góralską fajkę, a siadając na ławce przy piecu, skinął na Kasię.

— Pójdź, moje dziecko, — szepnął, biorąc jej ręce, — musimy się raz jeszcze rozmówić. Wybaczam ci, bo wiem, że jesteś niewinną, i dziękuję Bogu, że mi na czas zesłał Leona i kapitana, którzy mnie powstrzymali od popełnienia okropnej zbrodni.

— Ach ojcze, — prosiła Kasia, — nie mów już o tem!

Byłabym doprawdy chętnie umarła, i może byłoby dla mnie lepiej! Już bym teraz nie cierpiała.....

— Nie, Kasio, ty nie masz umierać, — zawołał wójt, i objąwszy płaczącą dziewczynę, przycisnął ją do serca, — ty jesteś jedynem mojem szczęściem na ziemi, jedyną istotą, którą kocham! Ale teraz słuchaj. Nie wiedziałaś dotąd, że ojciec twój jest rozbójnikiem, że należy do tej bandy, przed którą wszyscy drżą ze strachu, a mianowicie ci, którzy w nieprawy sposób przywłaszczyli sobie majątki. Powiesz może, iż zawód opryszka jest pogardy godny, ale osądź sama, czy zasługują na pogardę! Czuję że jestem ci winien powiedzieć całą prawdę, — opowiem ci moją przeszłość i wtedy niejedno zrozumiesz lepiej.

Ty Leonie, mój przybrany synu, możesz także słyszeć wszystko! — Moja młodość wydaje mi się dzisiaj uroczym snem, i właściwie powinienem być tak szczęśliwym dziś, jak byłem niegdyś..... Ach, bo ja bardzo byłem szczęśliwym, bardzo! Szanowano mnie ogólnie, posiadałem w mieście piękny, własny dom, ukochaną żonę i nie brakło mi nic do zupełnego zadowolenia potrzebnego do szczęścia. Miasto, w którem mieszkałem, nazywało się Tarnowo, i było głównie zaludnionem przez żydów. Było ich tam tak dużo, że my, chrześcianie, musieliśmy się starać o ich łaskę, inaczej byliby nas może z miasta wypędzili. Z tem wszystkiem mnie się dobrze wiodło, bo umiałem się z ludźmi obchodzić. W Tarnowie mieszkała familija mojej żony, a mianowicie jeden z jej wujów, w którego domu się wychowała. Wuj ten posiadał piękny dom, i gorzelnią i był majętny, a gdy żeniłem się z jego siostrzenicą, powiedział on do mnie:

— Pracuj pilnie, umrę, będziesz panem w moim domu.

Wtenczas nie chodziło mi tak bardzo o pieniądze i majątki, kochałem szczerze moją Agnieszkę i byłbym się z nią ożenił, chociażby nie była miała ani grosza! Ale majątek wuja był znaczny i nie gardziłem nim wcale. Zostałem więc w Tarnowie, dokąd przybyłem jako wędrujący czeladnik ślusarski, a niedługo po ślubie powiedział mi wuj, że jestem dobrym kupcem, i że kiedyś będę umiał doskonale prowadzić jego interes. Urządził on dla nas na górze miłe pomieszkanie, i tam się ty, moja Kasiu, urodziłaś. Ach, jakie to było szczęście! Cieszyliśmy się tak bardzo, nie przeczuwając, jak prędko wszystko się zmieni! Kilka miesięcy później umarł wuj, a gdy otworzono testament, okazało się, że matka twoja odziedziczyła wszystko. Czy ja, czy moja żona — to wychodziło na jedno! Miałem teraz więc ukochaną żonę, śliczną dziecinę, gorzelnią, dom, i dosyć dużo gotówki. Ale miałem też dużo do roboty, a że byłem młody i pilny, przeto pracowałem bardzo chętnie. Żona sprzedawała kawę, wódkę i tem podobne towary, ja zaś dosyć miałem zajęcia w gorzelni! —

W domu naszym było, jak w ulu.

Goście wchodzili i wychodzili, a gdy wieczorem obliczałem pieniądze, miałem zawsze spory zarobek.

Żydzi kupowali także u mnie — nie byli to wprawdzie najbogatsi w mieście, ale pomimo to płacili wszystko gotówką i dlatego dobrymi byli odbiorcami.

Pomiędzy tymi żydami znajdował się jeden, nazwiskiem Bernstein. Był to nadzwyczaj silny mężczyzna, miał przeszło czterdzieści lat, śmiały aż do szaleństwa, i jak się to czasem zdarza, miał włosy i brodę zupełnie jasne. Ale pomimo swej siły nie pracował on nigdy i nikt w mieście nie wiedział, z czego on właściwie żyje. Nie cieszył on się też dla tego zbyt dobrą renomą, ale ja nie mogłem się skarżyć na niego. Gdy raz naprzykład zmieniał pieniądze, wydałem mu dziesięć guldenów za wiele, oddał mi je mówiąc:

— Omyliłeś się pan — o całe dziesięć guldenów!

Podpadło mi też to, że Bernstein nigdy wieczorem do mnie nie przychodził, tylko zawsze rano. Gdzie zatem przepędzał wieczory?

Pewnego dnia jednak dowiedziałem się, z czego on żył i czem się zajmował. Siedziałem z nim przypadkiem sam w szynkowni i piliśmy razem śliwowicę. Nagle spojrzał on na mnie znacząco i rzekł:

— Powiedz mi pan, ile płacisz za spirytus? Potrzebujesz pewnie bardzo wiele spirytusu?

— O tak — odpowiedziałem. — Za każdą beczkę płacę piętnaście guldenów!

— To dużo pieniędzy! Czemu kupujecie tak drogo?

— Pleciesz, mój Bernsteinie — odrzekłem. — Czy mogę kupować taniej, jeżeli wszyscy tyle płacą? Cło tak jest wysokie — nie ma więc o czem mówić!

— Co powiedzielibyście na to, gdybym wam przyniósł spirytus po ośm guldenów?

Na te słowa przysunąłem się mimowoli do Bernsteina i spojrzałem mu badawczo w oczy.

— Jeżeli mi sprzedacie spirytus po ośm guldenów — szepnąłem, — to nie może się to dziać w sposób rzetelny.

— Czemu to ma koniecznie być austryacki? Rosjanie palą także spirytus, lepszy nawet jak nasz!

— No dobrze, ale...

Mieszkamy blizko granicy, koszta transportu nie są zatem wysokie. Zobowięzuję się dostawić wam dwadzieścia beczek spirytusu po ośm guldenów!

Brzmiało to bardzo zachęcająco. Na dwudziestu beczkach miałbym czystego zarobku sto czterdzieści guldenów, wiedziałem jednak, że spirytusu rosyjskiego za tę cenę może mi dostarczyć tylko przemytnik, i że przemytnicy wysokiej podlegali karze.

Ale Bernstein namawiał mnie tak długo, aż zamówiłem u niego owych dwadzieścia beczułek.

Spirytus przyniesiono mi i okazało się, że był bardzo dobry, o wiele lepszy, niż nasz krajowy. Od tego czasu kupowałem go tylko już u Bernsteina.

Po spirytusie przyszła kolej na inne towary, które w Rosyi o wiele tańsze były niż u nas, a które cło tak niezmiernie podrażało, naprzykład tytuń, cygara i przedewszystkiem herbata. Temi towarami mogłem rozpocząć bardzo ożywiony handel, Bernstein dostarczał mi ich tanio, za piątą część tej ceny, jaką płaciłem dotychczas. Herbatę moją posyłałem wtedy aż do Wiednia, i z miesiąca na miesiąc stawałem się bogatszym, a gdy ty Kasio skończyłaś dwa lata, posiadałem już dwadzieścia tysięcy guldenów gotówki. Byłem na najlepszej drodze zebrania wielkiego majątku.

Pewnego dnia wieczorem — pamiętam wszystko tak, jak gdyby się to wczoraj było działo, straszna panowała zawieja. Moi goście odeszli dziś prędzej, niż zwykle, bo przy takiem powietrzu spieszył każdy do domu. Ja zamykałem szynk, gasiłem lampy, i właśnie zamierzałem zgasić ostatnią, gdy nagle zapukano trzy razy do drzwi.

— Kto tam? — zawołałem. — Szynk już zamknięty, nie dam dziś więcej wódki!

— Otwierajcie — dał się słyszeć znany mi dobrze głos, — otwierajcie, to ja, Bernstein!

— Idźcie do domu — rzekłem. — Późno dziś, śnieżyca taka....

— Otwórzcie! Na Boga — krzyknął żyd — ścigają mnie....

— Ścigają! — To słowo obezwładniło mnie zupełnie. Bo jak się złe zacznie, to nie ma końca! Z powodu moich nierzetelnych interesów z Bernsteinem miałem teraz obowiązek ratowania go, jeżeli już nie dla niego to dla mnie, bo cóżby się działo, gdyby go uwięziono! Przy pierwszem przesłuchaniu wymieniłby moje nazwisko i zdradziłby mnie haniebnie — byłem przecież jego wspólnikiem!

Myśl ta była mi okropną tem więcej, że moja żona przestrzegała mnie często przed tym człowiekiem.

. . . .— *Rozłącz* się z nim — mawiała — wyrzeknij się tych zysków, które ci szczęścia nie przyniosą!

Ale ja jej nie słuchałem i zadawałem się coraz więcej z Bernsteinem.

Teraz musiałem go ratować!

Otworzyłem więc czemprędzej drzwi i wpuściłem go do sieni. Ale jak on wyglądał? W pierwszej chwili nie poznałem go wcale. Miał on stare jakieś ubranie błotem powalane, jak gdyby był leżał w jakiej kałuży. Włosy wisiały mu w nieładzie na twarzy uczernionej, co pewnie zawsze czynił, gdy przechodził granicę. Na plecach miał miech, pod którego ciężarem się formalnie zginał.

— Zamknijcie drzwi, — zawołał. — Oni są tuż za mną! Ale nie widzieli, że tu uszedłem! Dzięki Bogu, nareszcie jestem bezpieczny! Dajcie mi czego do picia — jestem tak osłabiony, że ledwo żyję! Gonili mnie, jak psa!

Dałem mu zaraz spory kieliszek wódki, a on wypił go aż do ostatniej kropli.

Miech, jaki miał na plecach, położył obok siebie na ziemi, a na miechu osiadł delikatny, biały pył, przeto domyśliłem się, że to cukier.

Cukier był wówczas w Austryi tak tani, że przenoszono go miechami do Rosyi.

— Co się właściwie stało? — zapytałem, siadając mu naprzeciwko. — Czy was urzędnicy celni spotkali?

— Było to prawdziwe polowanie, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie zaznałem. Licho wie, co się stało, ja sobie tego nie umiem wytłómaczyć! Otóż wczoraj wieczorem przyszedł do mnie jakiś mężczyzna którego nigdy jeszcze nie widziałem — nizki, krępy, dobrze ubrany, o siwych włosach, krótko przystrzyżonych i siwej brodzie.

— Jesteście Salomon Bernstein? — zapytał.

— Tak.

— Chcielibyście dziś jeden miech przenieść przez granicę — ale tak, aby was nie schwytano?

— Panie, — rzekłem, — jak możesz coś podobnego odemnie żądać, ja jestem przecież....

— Przemytnikiem, — zawołał, — tak jest, nie zaprzeczajcie mi! Ale ja nie jestem ani szpiegiem, ani agentem rządowym, przeciwnie, mam pewien ważny interes do załatwienia, i przysięgam wam na Boga, że nie przyszedłem tu po to, aby was na niebezpieczeństwo narażać! Mam sto miechów cukru, które muszę przenieść przez granicę, bez zapłacenia cła. Nie chcę jednak, abyście mi wszystko naraz przewieźli, to jest zbyt niebezpieczne, ale człowiek niosący jeden miech na plecach, łatwo może uciekać przed nieprzyjaciołami.

Musiałem mu przyznać słuszność!

— Za każdy miech zapłacę wam dziesięć rubli, — mówił dalej mój nieznajomy, — dziś jednak musicie zacząć robotę. —

— Tysiąc rubli, — pomyślałem z radością. — Ależ to ogromna suma! Zgodziłem się naturalnie na wszystko. Nieznajomy kazał mi przyjść na skraj lasu, pod bliżej oznaczone drzewo — tam miałem otrzymać miech i przenieść go do Rosyi.

— Dokąd mam iść potem, komu go oddać? — zapytałem.

— Znacie rosyjskie miasteczko Granicę — odrzekł — i karczmę Anzelma Hakera?

— Tak!

— Więc oddacie miech Hakerowi, on pośle go dalej!

Wszystko to wydawało mi się tak jasnem i prostem, że nie wątpiłem ani na chwilę o tem, aby mi się nie miało udać. Przecież setki razy przechodziłem granicę z miechem lub koszem na plecach i znałem drogi, na których nie potrzebowałem się obawiać spotkania z żandarmami lub celnikami. Nie, polecenie nieznajomego wcale nie było trudnem, a zarobek ogromny! Cieszyłem się też niezmiernie na te tysiąc rubli!

— Wierzę — rzekłem. — Wypijcie jeszcze jeden kieliszek wódki! Potem opowiadajcie dalej.

Bernstein nie dał się prosić, wypił wódkę z widoczną przyjemnością i zaczął znowu:

— Gdy się ściemniło wyszedłem z domu. Pod drzewem, na skraju lasu, stał już mój nieznajomy, a obok niego leżał miech, który się teraz tu oto znajduje. Zarzuciłem miech na plecy, on pomógł mi przytem i wsuwając mi dziesięć rubli w rękę, przyrzekł, że jutro znowu tu z miechem i z pieniędzmi będzie na mnie czekał. Potem zaraz puściłem się w drogę.

Noc była ciemna, wicher wył przerażająco, śnieg padał mi w oczy, ale ja nie zważałem na nic. Szedłem drogą pomiędzy jodłami, podpierałem się mocnym, w żelazo okutym kijem i raz po raz dotykałem kieszeni, aby się przekonać, czy pistolet jest w niej jeszcze. Bez pistoletu nie ruszam się ani na krok!

Miech okropnie był ciężki — cukier jest pewnie wilgotny — inaczej nie rozumiem, że taki ciężar prawie mnie do ziemi zgina. Ale nie tracąc czasu, zebrałem wszystkie siły i szedłem dalej.

Nagle, w chwili, w której właśnie przeszedłem granicę rozległ się strzał, i zaraz też ujrzałem za każdem drzewem kozaka. Teraz trzeba było uciekać — bo chodziło o życie!

Nie namyślając się długo, zawróciłem i pędziłem, ile mi sił starczyło. Na austryackiej ziemi byłem bezpieczniejszym, bo tu kozakom wchodzić nie wolno. Zaledwie jednak ubiegłem ze sto kroków, gdy i tu rozległy się strzały — austryaccy urzędnicy ścigali mnie także! Myślałem już, że jestem zgubiony, bo gdy urzędnicy obydwóch państw urządzają obławę na przemytników, to też nie ma dla nas ratunku! Wiedziałem, że nie chodzi im o towar, tylko o moją osobę, chcieli raz przecież schwytać osławionego Salomona Bernsteina, który ich tyle nagniewał. Więc mój nieznajomy był jednak szpiegiem lub agentem!

Na szczęście nie trafiła mnie żadna kula, ale zawdzięczam to jedynie straszliwemu wichrowi i zawieji, która rzucając śnieg w oczy urzędników, utrudniała im strzelanie.

Wpadłem w las i w końcu rzuciłem się z jakiejś skały w śnieg, sądząc, że będę bezpiecznym. I byłem też. Miękki śnieg okrył mnie zupełnie, a ja, nie mogąc prawie oddychać, blizki uduszenia, siedziałem tam blizko pół godziny. Raz po raz tylko podnosiłem głowę, aby zaczerpnąć sił i trochę odetchnąć i zaraz potem kryłem się pod śnieg.

Przeklęty miech miałem zawsze jeszcze na plecach, nie mogłem go w pospiechu odrzucić, tak mocno był mi do ramion przytwierdzonym! Zresztą, żaden przemytnik nie opuszcza swego towaru.

Gdy się wszystko uciszyło, podniosłem się, i będąc przekonanym, że przeciwnicy moi już odeszli, wyszedłem z śniegu i biegłem ku domowi. Nie miałem już chęci przeniesienia miecha do Rosyi. Z Kozakami nie chciałem też mieć nic do czynienia, byliby mnie bowiem zaraz uwięzili, gdybym się był tylko zbliżył do domu Hakera. Zamierzałem więc wrócić do domu. Dowodów przeciwko mnie nie było żadnych, a ten miech przebrzydły postanowiłem zniszczyć tak, aby najmniejszego po nim nie zostało śladu.

Ale wchodząc do miasta —co ujrzałem? Żandarmów. I teraz okropna rozpoczęła się gonitwa. Ścigali mnie, jak dzikie zwierzę, uszedłem im zaś tylko dla tego, że zdążyłem dobiegnąć ten stary dom, mający, jak wiecie, dwa wyjścia. Oni mnie tam może jeszcze szukają!

— A wiecie też napewno, — rzekłem — że nikt was nie widział wchodzącego do swego domu?

— Wiem to napewno! Możecie być zupełnie spokojni, z mego powodu nie doznacie żadnej nieprzyjemności.

— Co się stanie z miechem? — zapytałem.

— Ach przyjacielu, — zawołał Bernstein — zróbmy handel, przy którym ja żadnego nie chcę mieć zysku. Wy uratowaliście mi życie, weźcie za to ten miech cukru, jest on wart przynajmniej trzydzieści guldenów. Dajcie mi jeszcze kieliszek wódki i sprawa załatwiona!

Byłem jednak zbyt sumiennym, aby się na to zgodzić. Chciałem tanio kupić cukier, ale Bernstein miał też coś na nim zarobić.

— Jako podarunek nie przyjmę cukru, — rzekłem stanowczo, — jeżeli was uratowałem, to uczyniłem to dla miłości bliźniego nie dla zysku, ale kupię go za dziesięć guldenów. Zgoda?

— Zgoda! Nie ma się o co sprzeczać. Mogę potrzebować dziesięć guldenów, bo prawdę mówiąc — ja się tu już bezpiecznym nie czuję! Jutro chcę opuścić Tarnów — pójdę teraz do domu, zapakuję trochę rzeczy i zniknę na pewien czas, a gdy ludzie trochę o mnie zapomną, zjawię się znowu i rozpocznę moje rzemiosło!

Na te słowa spadł mi kamień z serca, bo chociaż traciłem źródło taniego spirytusu, to jednak cieszyłem się niezmiernie, że stosunki moje z Bernsteinem na zawsze będą zerwane. A jak się żona moja ucieszy!

— Macie słuszność, — zawołałem, podając mu rękę — gdy wszystko ucichnie, wróćcie znowu. Dzielny przemytnik znajdzie tu zawsze dosyć zajęcia! Dokąd chcecie iść? Do Ameryki?

— Za nic w świecie? Dobry kupiec nie potrzebuje wychodzić do Ameryki po zarobek — ma on go tutaj dosyć. Pójdę do Wiednia — tam można dosyć pieniędzy zarobić.

Ja tymczasem poszedłem do szafy, aby wypłacić Bernsteinowi owe dziesięć guldenów, ale gdy usłyszałem że on się do Wiednia wybiera, przyszła mi pewna myśl do głowy, myśl nieszczęsna, na którą nigdy nie powinienem był wpaść.

— Słuchajcie, — zawołałem, — jeżeli idziecie do Wiednia, to ja wam tych dziesięciu marek nie wypłacę tutaj. Dam wam raczej upoważnienie do ściągnięcia tej sumy od pewnego kupca, nazwiskiem Trinkera. On mi winien tyle, niech zatem wam pieniądze wypłaci. Mieszka on na ulicy Wall.

— Bardzo dobrze, — rzekł Bernstein, — możecie być pewni, że pieniądze te dostanę. Napiszcie mi tylko kartkę — aby wiedział, że mam prawo żądania ich!

— I popełniłem to szaleństwo! — zawołał Kamczyk — Byłem chyba nieprzytomnym! Nie myślałem o tem co robię, wziąłem papier i napisałem, że Samuel Bernstein ma prawo żądania dziesięciu guldenów w mojem imieniu od Trinkera. Potem oddałem kartkę Bernsteinowi.

— Napiszcie też datę, — rzekł on, — inaczej nie ma kartka wartości.

— Datę? — zapytałem. — Ale którego my właściwie mamy? Dziewiętnastego, czy dwudziestego lutego? Bo przecież północ się zbliża!

— Więc napiszcie dziewiętnastego o północy.

Napisałem.

Czemu mi wówczas ręka nie uschła, zanim to napisałem!

Bernstein wziął kartkę, złożył ją i schował w pugilaresie. Przy tej sposobności zauważyłem, że on miał dużo banknotów przy sobie, przynajmniej trzy do czterech tysięcy guldenów.

— Tem lepiej dla niego, — pomyślałem, — nie będzie miał biedy w Wiedniu!

Wypiliśmy jeszcze kieliszek wódki razem, potem pożegnał mnie Bernstein i przyrzekł, że gdy wróci do Tarnowa będę ja pierwszym, którego odwiedzi. Ja namawiałem go,, aby jak najdłużej pozostał w Wiedniu, nie pragnąłem bowiem wcale ujrzeć go tak prędko.

W końcu wyprowadziłem go na podwórze i przekonawszy się, że nigdzie żandarmów nie ma, otworzyłem mu bramę. Gdy wyszedł, odetchnąłem swobodniej, byłem pewnym, że tak wnet go nie zobaczę! Nie przeczuwałem jednak, jak długo nieobecność jego potrwa!

Wrócił on potem do mego sklepu i wyniosłem miech z cukrem do małego magazynu, w którym znajdowały się towary zapasowe, mające być później sprzedane. Kilka dni przedtem kupiłem także parę miechów cukru i te chciałem najpierw wypotrzebować.

W końcu zmęczony, zgasiłem świecę i udałem się do mieszkania na górze, a ponieważ żona moja jeszcze nie spała, opowiedziałem jej wszystko o Bernsteinie.

— Dzięki Bogu, — zawołała Agnieszka, składając ręce. — Wierzaj mi ,kochany Michale, ten człowiek byłby cię prędzej albo później zgubił. Jestem bardzo szczęśliwa. że on już nie przestąpi progu naszego domu!

Tej nocy spałem tak dobrze, jak dawno już nie pamiętałem!

L.

Okropne odkrycie.

Następnego dnia o wpół do szóstej rano byłem już znowu w składzie i czyściłem stoły i okna, podczas kiedy moja żona układała kawę, cukier i tem podobne towary, w małe paczki.

Nagle otworzono drzwi, i jeden z moich codziennych gości ,który przychodził zawsze rano na kieliszek wódki, wbiegł z oznakami wielkiego wzburzenia.

— Wiecie już, — wołał zaraz od progu, — co się stało?

— Co mam wiedzieć, — odrzekłem spokojnie, nalewając mu wódkę.

— Co się stało dziś w nocy, w Tarnowie!

Przestraszyłem się niezmiernie — pomyślałem bowiem zaraz o Bernsteinie.

Więc go jednak schwytano, może już uwięziono — ach, żeby mnie tylko nie popchnął w nieszczęście!

— Nic nie wiem, — odrzekłem, siląc się na spokój, — o kim właściwie mowa?

— O żydzie Bernsteinie!

A zatem o nim! Domysły moje były słuszne! Zdawało mi się w tej chwili, że mi ktoś gardło ściska!

— Co się stało z Bernsteinem? — zawołałem, a udawając, że mnie sprawa ta nic nie obchodzi, dodałem jeszcze:

— Wszakże to publiczną jest tajemnicą, że on należy do przemytników, i że rychlej czy później musiał wpaść w ręce urzędników celnych.

— Ach, co tam urzędnicy i przemytnicy, — zawołał mój gość, mularz, popijając wódkę, — o tem wcale nie ma mowy. Jemu nikt nie może dowieść, że był przemytnikiem! Żal mi go bardzo, bo pomimo wszystkiego niezły to był człowiek. Lubiliśmy go dosyć.

— Ależ co się z nim stało? — zawołałem zniecierpliwiony.

— Zamordowano go tej nocy — odparł mularz. — Dziś rano znaleziono go w łóżku z przerżniętem gardłem! Miał to być okropny widok, nawet żandarmi cofnęli się przerażeni.

Zachwiałem się i upadłem na krzesło.

— Zamordowany! — jęknąłem. — Bernstein zamordowany! To być nie może! Dla czego miałby go ktoś zabijać? Przecież skarbów nie miał — a dla tych pieniędzy, jakie posiadał, nie warto go było mordować!

— Nie zabrano mu też ani grosza — odrzekł mularz, — i to właśnie jest przy całej tej sprawie najdziwniejszem. Znaleziono w jego pokoju zegarek, łańcuszek, pierścionki i nawet pugilares, w którym było dwa tysiące sto guldenów w papierach.

W tejże chwili wpadła moja żona, która poprzednio była wyszła i opowiadanie mularza nie słyszała do składu i krzyknęła:

— *Słyszałeś już? Salomon Bernstein jest zamordowany, całe miasto poruszone, bo takiej zbrodni nigdy tu jeszcze nie popełniono!*



Słyszałeś już? Salomon Bernstein jest zamordowany, całe miasto poruszone, bo takiej zbrodni nigdy tu jeszcze nie popełniono.

I tak trwało cały dzień, każdy gość, który przyszedł, opowiadał mi o zagadkowem zamordowaniu Bernsteina. Nikt nie umiał sobie tego wytłumaczyć.

Policjanci gorączkową rozwijali czynność w celu wytropienia mordercy, ale daremnie, nie mieli bowiem żadnego punktu oparcia.

Salomon Bernstein zamieszkiwał sam mały, nędzny domek, nie miał on żony, i zapewne dla swego przemytnictwa, wynajął domek ten, leżący na samym końcu miasta, i nie mający żadnego sąsiedztwa. Nad ranem wyłamali żandarmi drzwi i znaleźli Bernsteina leżącego w łóżku — zamordowanego.

Zbrodnia ta musiała być popełnioną zaraz po północy, stwierdził, że nóż, którym przecięto gardło nieszczęśliwego, bardzo być musiał ostry. Była to może nawet brzytwa albo nóż, jakim się zwykle posługują rzeźnicy.

Samobójstwo było zupełnie wykluczone — nikt w świecie nie potrafiłby sobie przeciąć gardła tak głęboko od ucha do ucha.

— Czemu zamordowano Bernsteina?

To było pytanie, które sobie każdy stawiał, i policja także — nikt bowiem nie wiedział, kto mógłby mieć jaki interes w śmierci tego człowieka! Gdyby jeszcze było chodziło o kradzież pieniędzy, to co innego, ale z kosztowności, jakie posiadał, nie zginęło zgoła nic, i pieniądze także znaleziono nietknięte w pugilaresie. Więc nie zabito go dla obrabowania! W takim razie chyba przez zemstę — to była jedyna możliwość!

Miał pewnie nieprzyjaciół pomiędzy przemytnikami, którzy obawiając się zdrady, zabili go!

Przez dwa tygodnie nie mówiono o niczem innem w mieście i okolicy, jak o tej tajemniczej zbrodni i w końcu zgodzono się na to, że Salomon Bernstein należał do tych

ludzi, którzy naturalną śmiercią nie umierają. Żył on zawsze zagadkowo i tak samo umarł.

Pochowano go kilka dni później, cicho, bez wszelkich ceremonji, a żydzi, którzy nigdy swego współwyznawcy nie opuszczają, usunęli się zupełnie od tego pogrzebu. Nikt nie chciał mieć z nim stosunków.

I zwolna zapomniano o nim.

Muszę wyznać szczerze, że od chwili śmierci jego stałem się spokojniejszym i swobodniejszym — nie potrzebowałem się teraz niczego już obawiać, interesy, jakie miałem z nim ustały i nie mogły żadnych złych mieć dla mnie następstw i przysiągłem sobie, że nigdy już w podobne nie wdam się sprawy. Pracowałem pilnie dalej, i po kilku miesiącach nie myślałem już o Bernsteinie, gdy pewnego dnia przypomniałem go sobie w dziwny bardzo sposób.

Moja żona przyszła raz do mnie do składu i zawołała:

— Nie mam już cukru, Michale! Przynieś mi jeden z miechów z magazynu — ale proszę o miałki cukier!

— Prawda — pomyślałem — mam tam jeszcze cukier, który owej nocy kupiłem od Bernsteina i cieszyłem się teraz, że ostatni ślad przemytnika zniknie z mego domu. Wszedłem więc do magazynu z zapaloną lampą, bo tam zawsze było zupełnie ciemno, i postawiwszy lampę na próżną beczkę zabrałem się do otwierania miecha. I gdy rozwięzując sznury dotknąłem palcem białego pyłu, włożyłem palec ten w usta mimowoli, nie myśląc wcale dlaczego to robię. Kupcy robią to pewnie już z przyzwyczajenia.

Ale cóż to?

Cukier ten nie był wcale słodki — przeciwnie nawet, miał smak gorzki. Czy przemytnik mnie oszukał, i sprzedał mi lichy gatunek, albo czy w miechu tym wcale cukru nie było?

W następnej chwili otworzyłem miech i wsunąłem rękę, aby wziąść garść cukru i przekonać się, co to właściwie jest, gdy nagle....

Palce moje dotknęły czegoś miękkiego, lepiącego, potem schwyciłem coś, podobnego nieco do włosów i wyciągnąłem z miecha jakiś duży okrągły przedmiot ,na który padło teraz światło lampy...

I równocześnie krzyknąłem przerażająco — w ręku bowiem trzymałem głowę ludzką!

W pierwszej chwili myślałem, że upadnę nieprzytomny, ale przyszło mi na myśl, że nie wolno mi teraz zemdleć, nie wolno tracić przytomności, bo poznałem, że w okropnem znajduję się położeniu. Miech zostawiony tu przez Bernsteina mógł sprowadzić na mnie największe nieszczęście!

Przemogłem więc wstręt i odrazę i obejrzałem bliżej głowę....

Była to głowa dziewczyny lub kobiety, umarłej już co najmniej przed dwoma miesiącami, bo ciało psuło się już okropnie i oczy wyciekły. Widać jednak było, że twarz nieszczęśliwej rzadką się odznaczała pięknością, włosy zaś były długie i czarne jak heban.

Nie ulegało wątpliwości, że głowa była od tułowiu ostrym odcięta nożem, ale gdzie było ciało zamordowanej? I zacząłem szukać w miechu.

Znalazłem, tak jak przypuszczałem, inne części ciała, wszystkie pokrajane na kawały, nogi i ręce osobno, a nawet pierś była rozkrajaną i wyjęto z niej — serce! Morderca osypał to wszystko wapnem tak, że stała się jedna bryła — włożył ją w miech i wypełnił nierówności także wapnem. Tym sposobem nie zepsuło się ciało tak prędko, a przedewszystkiem nie wydzielało tego okropnego zaduchu trupiego. Od dwóch tygodni czułem wprawdzie w magazynie odrażający zapach, ale ponieważ zginął mi równocześnie kot, przeto myślałem, że leży gdzie nieżywy pomiędzy pudłami i że to od niego rozchodzi się ten zaduch.

Przez półgodziny najmniej nie mogłem ochłonąć z przerażenia. Tysiączne myśli nasuwały mi się do głowy, strach, obrzydzenie, obawy — wszystko to męczyło mnie straszliwie, a jednak główną moją myślą było:

— Kto był ową nieszczęśliwą kobietą i kto ją zamordował!

Mówiłem sobie jednak, że na jedno i na drugie pytanie odpowiedzi nie otrzymam!

Wszystkie części ciała były zupełnie nagie, nie miałem więc absolutnie żadnej wskazówki co do osoby zamordowanej, a na pytanie, kto był mordercą, byłby mi tylko mógł Bernstein odpowiedzieć. Ale od dwóch miesięcy spoczywał on w grobie.

Czyżby on sam był zamordował tę kobietę?

Nie, bo już to samo, że po kilku dniach zamordowano go także, było dowodem, że tu ktoś trzeci wchodził w grę — to jest prawdopodobnie morderca kobiety i Bernsteina.

Ale kto był ów trzeci? Czy nieznajomy, który dał żydowi miech, do przeniesienia przez granicę, czy kto inny... któż to mógł wiedzieć! Rzecz ta niezmiernie była ciemną i zagadkową.

Przedewszystkiem jednak trzeba mi było teraz myśleć o sobie samym. Znajdowałem się przecież w strasznem niebezpieczeństwie, bo gdyby ktoś odkrył tego trupa w moim domu, to byłbym zgubionym. Podejrzenie zamordowania tej kobiety padłoby na mnie, a jeżeli nie, to w każdym razie uważanoby mnie za wspólnika zbrodniarza! Najpierw więc musiałem ciało ukryć — postanowiłem uczynić to sam i nawet żonie nic o tem nie wspominać. Biedna byłaby się śmiertelnie przeraziła, a na to nie chciałem jej narażać.

Włożyłem więc znowu wszystko do miecha, bo obecnie nie mogłem nic zrobić, i dopiero w nocy chciałem wynieść ciało z domu. Na szczęście znalazłem jeszcze w jednej z beczek trochę miałkiego cukru i zaniosłem go żonie. Musiałem jednak okropnie wyglądać, bo Agnieszka spojrzała na mnie badawczo i spytała, czy nie czuje się chorym.

Zapewniałem jej, że głowa mnie trochę bolała, ale że mi już lepiej, i pobiegłem szybko do składu, aby obsługiwać gości.

Przez cały dzień nie myślałem o niczem innem, jak tylko o tem, w jaki sposób wynieść ciało. W domu nie chciałem i nie mogłem je zatrzymać, bo chociażbym je w piwnicy zagrzebał, to blizkość tego trupa nie dałaby mi ani na chwilę spokoju. Nie, bądź co bądź trzeba mi było wynieść trupa z domu!

Najlepiej zanieść go do lasu i pochować go tam pod jakiem drzewem!

Jak umyśliłem, tak zrobiłem. Wieczorem, po zamknięciu sklepu, powiedziałem żonie, że dla bólu głowy muszę się jeszcze cokolwiek przejść, potem włożyłem ciało wraz z miechem do kosza i udałem się w drogę.

Noc była pogodna i jasna.

Trzymałem się blizkości domów, aby mnie w cieniu ich nikt nie widział, lękałem się bowiem, że mnie jaki znajomy spotka i zapyta, co mam w koszu. Ułożyłem sobie wprawdzie odpowiedź na takie pytanie, ale nie umiałem kłamać i wiedziałem, że w danym razie zacznę się jąkać i drżeć.

Dochodziłem już do lasu — widziałem już drzewa śniegiem pokryte, gdy nagle usłyszałem tuż za sobą tentent kopyt końskich. I obejrzawszy się, ujrzałem kilku żandarmów, pędzących za mną z dobytemi pałaszami.

W śmiertelnem przerażeniu zacząłem uciekać. Biegłem z całej siły i dopadłszy lasu, ukryłem się w najgęściejsze zarośla. Żandarmi pędzili za mną!

Jedyną moją myślą było teraz — dostać się do rosyjskiej granicy, tam byłem może bezpieczny.

Dla czego ścigano mnie? Czy wiedział kto, co się znajduje w moim koszu?

Nie, to było wręcz niemożliwem! Nikt nie mógł mnie zdradzić — jedynym człowiekiem, który wiedział, co w miechu było był Salomon Bernstein, a ten dawno już nie żył.

Pędziłem, ile mi nóg starczyło i wkrótce dopadłem rosyjską granicę . Nie myślałem o tem, czy zobaczę raz jeszcze moją żonę, czy będę mógł kiedykolwiek wrócić do domu, — nie, ja myślałem tylko o tem, w jaki sposób pozbyć się tego okropnego kosza. Byleby mnie poprzednio nie zatrzymano.

Rzucić byle gdzie nie mogłem go, bo wewnątrz znajdowała się blaszka z mojem nazwiskiem, miałem jednak nadzieję, że na ziemi rosyjskiej będę go mógł łatwiej gdzie zakopać.

I zajęty temi myślami biegłem dalej, gdy nagle błysnęła przedemną lufa pistoletu i głos jakiś krzyknął:

— Stój, bo strzelę!

Boże Wielki, Kozacy! Nieco dalej stał domek, w którym mieszkali.

Stanąłem, jak skamieniały — jedno poruszenie, a Kozak byłby mnie bez wszystkiego zastrzelił.

I teraz usłyszałem, jak zaczęli szeptać po rosyjsku:

— To on! to on! Opis zupełnie się zgadza!

W następnej chwili rzucili się na mnie i zawlekli mnie do ich mieszkania. Kosz zabrali naturalnie także i nie trwało długo, jak poznali straszliwą jego zawartość.

Resztę opowiem w kilku słowach.

Nazajutrz przetransportowano mnie w głąb Rosyi, do Moskwy, a wszystko odbywało się tak prędko i tajemniczo, jak gdybym był jakim dawno poszukiwanym przestępcą politycznym. Ani razu jednak nie przesłuchano mnie jeszcze i nie wiedziałem rzeczywiście, o co mnie oskarżają. Domyślałem się naturalnie, że uważają mnie za mordercę kobiety, której ciało znaleziono w moim koszu.

Dlaczego przecież zawieziono mnie do Moskwy? Czemu uwięziono mnie w Rosyi, a nie w Austryi? Wszakże byłem austryackim poddanym!

Nie mogłem tego pojąć!

Nie pozwolono mi też pisać do mojej żony i to mnie niezmiernie dręczyło. Nie wiedziała ona wcale, co się ze mną stało i była zapewne w okropnej rozpaczy!

Ja przez te dwa tygodnie stałem się zupełnie innym; upadłem na duchu i na ciele, podróż bowiem zmęczyła mnie nieopisanie. Wywieziono mnie w zamkniętym powozie — jechaliśmy zaś dniem i nocą. Zmieniano konie, pocztyljonów, powozy, a ja wszystko musiałem znieść bez najmniejszego wypoczynku. Do jedzenia dawano mi tylko chleb i wodę i raz na dzień trochę ciepłej zupy. Gdy przybyłem do więzienia do Moskwy, byłem chudy, nie ogolony, nie uczesany, brudny, jednem słowem zmieniony do niepoznania. W ciągu dwóch tygodni nie wolno mi się było ani czesać, ani myć.

W Moskwie wrzucono mnie do straszliwego więzienia, którego nawet opisać nie można. Było tam tyle szczurów, że im się ledwie opędzić zdołałem — i tam siedziałem znowu dwa tygodnie!

Na wszystkie moje pytania nie odpowiadał mi dozórca więzienia, ani słowa, nie zważał na moje łzy, i śmiał się, gdy przysięgałem, że jestem niewinnym. Nareszcie, pewnego dnia oznajmił mi, że sędzia śledczy chce mnie widzieć. — Trzymając łańcuch, do którego byłem przykuty, prowadził mnie przez długie kurytarze i ganki, i wkońcu otworzył drzwi do pokoju sędziego.

Urzędnik ten, nizki, otyły [illegible] patrzał na mnie badawczo i kazał przywołać dwóch jeszcze żołnierzy do pilnowania mnie, mówiąc, że jestem bardzo niebezpiecznym zbrodniarzem.

Potem przeczytał mi oskarżenie, które brzmiało jak następuje:

— Przed trzema mniej więcej miesiącami udała się młoda rosyjska hrabina, nazwiskiem Katarzyna Korsakow w podróż z Petersburga do Wiednia. W Tarnowie kazała stanąć, i w towarzystwie służącego postanowiła przejść się trochę po lesie, podróż bowiem niezmiernie ją zmęczyła. Stangret miał ją z powozem oczekiwać za lasem, i czekał też długo, nikt jednak nie przyszedł.

Stangret zameldował to natychmiast na policji — przeszukano w tajemnicy cały las, ale nie znaleziono ani hrabiny, ani służącego. Widocznie napadł ich ktoś w lesie i zamordował.

Rząd rosyjski uwiadomił rząd austryacki o całej sprawie i wezwał do gorliwego poszukiwania mordercy. Bo hrabina Korsakow była siostrzenicą ówczesnego ministra sprawiedliwości, i miała przy sobie pięćdziesiąt tysięcy rubli, gdy wyjeżdżała w tę podróż. Pieniądze te miała w czekach na rozmaite banki europejskie, mianowicie na włoskie, bo z Wiednia chciała jechać dalej do Włoch i zabawić tam dłuższy czas.

Skończyła ona co dopiero dwadzieścia jeden lat i bardzo była piękną!

Oprócz pieniędzy p[illegible] brylanty ogromnej wartości, które zawsz[illegible] sobie.

Można sobie było wytłumaczyć, że zamordowanie tak bogatej osoby mogło leżeć w interesie jakiego zbrodniarza, ale kto wiedział, że ona miała tak znaczne sumy przy sobie? Kto mógł przeczuć, że ona właśnie w Tarnowie objawi życzenie przejścia się po lesie? I gdzie się podziały ciała zamordowanych, to jest hrabiny i służącego? Przeszukano jak najstaranniej cały las, ale nigdzie nie znaleziono śladu zbrodni.

Nagle otrzymała policja tarnowska bezimienne doniesienie, że przemytnik Salomon Bernstein jest mordercą i że tej a tej nocy będzie on usiłował przenieść pokrajanego trupa hrabiny przez granicę.

Tym sposobem wyjaśniło się owe polowanie na niego, jednak nie odniosło pożądanego skutku, bo przemytnik zdołał, jak wiadomo, ukryć się w moim domu. Ale o tem nikt nie wiedział, oprócz mnie. Zostawił on u mnie ów miech, tej zaś nocy, w której chciałem wynieść w koszu części trupa, otrzymała policja powtórne uwiadomienie, że kupiec Michał Kamczyk zamierza ciało zamordowanej hrabiny zakopać w lesie.

Policjanci zatelegrafowali natychmiast do kozaków i tak urządzono polowanie na mnie.

Byłem mniej szczęśliwym niż Bernstein, bo schwycono mnie bardzo łatwo.

Akt oskarzenia kończył się tem, że posądzano mnie o wspólne z Bernsteinem zamordowanie hrabiny, w celu przywłaszczenia sobie jej majątku. I rzeczywiście pozory były przeciw mnie takie, że każdy byłby to musiał uwierzyć. Zapewniałem ciągle, że jestem niewinnym, ale to mi nic nie pomogło! Przysiąg moich nikt nie słuchał.

Ach, a ja przecież nie byłem mordercą! W Tarnowie znali mnie wszyscy jako najspokojniejszego i najłagodniejszego w świecie człowieka!

— Czemu się wypierasz? — zawołał sędzia śledczy. — Cała ta sprawa jest zupełnie jasną! Dowiedzieliśmy się, że ten Salomon Bernstein godzinami przesiadywał w twojej szynkowni — przy kieliszku wódki pewnie straszny plan zamordowania hrabiny został ułożony. Bernstein wypośrodkował, że nadjeżdża jakaś wytworna kareta do Tarnowa — miał on swoich szpiegów, którzy mu donieśli, że w karecie tej jedzie bogata pani i wtedy powziął on zamiar zamordowania jej. A ty dałeś się do tego namówić. Sam może nie zabiłeś jej, ale byłeś pomocnikiem Bernsteina. Ściślejsze śledztwo wykaże zresztą całą prawdę!

Odprowadzono mnie znowu do więzienia, w którem miałem dosyć czasu do rozmyślania nad niesprawiedliwością, jaką mi wyrządzono i nad mojem rozpaczliwem położeniem.

Nie wątpiłem jednak, że niewinność moja wykryje się, że Bóg nie pozwoli, abym tu marnie zginął za cudze grzechy. Ale minęło sześć tygodni, a los mój nie zmienił się wcale. Po pierwszem przesłuchaniu nie było już drugiego, trzymano mnie w więzieniu jak dzikie zwierzę. Chudłem, mizerniałem, robactwo wszelkiego rodzaju dokuczało mi straszliwie — i wiedziałem, że długo tego nie wytrzymam.

Więzienie rosyjskie, to piekło na ziemi.

Nie przeczuwałem jednak wówczas, że istnieje gorsze jeszcze piekło! Niestety poznałem je później także.

Że nie straciłem zmysłów w tem więzieniu, zawdzięczam jedynie mej wierze w Boga i chęci wykrycia mordercy. Dniem i nocą rozmyślałem nad tem, kto mógł hrabinę zamordować. Salomon Bernstein? Nie, on by czegoś podobnego nie był popełnił. On był przemytnikiem i złodziejem, ale nie mordercą! Pomiędzy żydami mało jest morderców, zajmują się oni więcej kradzieżą i oszustwem. Byłem nawet przekonany, że zostawiając u mnie miech myślał także, że w nim cukier się znajduje, że zatem nic o morderstwie nie wiedział.

Smutny koniec nieszczęśliwej hrabiny wzruszał mnie głęboko, jak okropnie jest ginąć tak nędzną śmiercią w kwiecie wieku, mając wszystko, czego dusza zapragnie!

Ale więzienie tak już wyczerpało moje siły, że ucieszyłem się niezmiernie, gdy mi pewnego dnia oznajmiono, że wkrótce zapadnie na mnie ostateczny wyrok.

Niechby mnie już na śmierć skazano, lepsze to, niż męczarnie, jakie znosiłem.

Tylko myśl o żonie nie dawała mi spokoju! Nie miałem pojęcia, czy ona już wiedziała o wszystkiem, czy też tajono przed nią prawdę... Zdawało mi się, że całą tę sprawę prowadzono w wielkiej tajemnicy, ale nie wiedziałem, dlaczego.

I znów zaprowadzono mnie pewnego dnia przed sędziów.

Było to poważne, nawet ponure zgromadzenie, a na twarzach urzędników czytałem mój wyrok, zanim mi akta przeczytano.

Wiedziałem, że niema dla mnie ratunku, że zgóry jestem potępiony.

(Ciąg dalszy nastąpi).